Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 23 września 1945 r. | Nr. 43

WŁODZIMIERZ LECHOWICZ

Okrakiem na barykadzie

W ramach dyskusji prowadzonej na Zjeździe Uczestników Walki Zbrojnej z Niemcami, zabierali głos przedstawiciele poszczególnych organizacji, aby przypomnieć, podsumować i naświetlić własną, niedawną przeszłość konspiracyjną nie tylko wobec zgromadzonych na sali, ale i wobec społeczeństwa, aby z kolei wytknąć nowe drogi działania wczorajszym żołnierzom walki podziemnej. Jako związany w konspiracji z AK i z tego tytułu uczestniczący w Zjeździe w charakterze gościa, wysłuchałem ze szczególną życzliwością i uwagą dwóch obszernych przemówień przedstawicieli AK oczekując, że ułatwią oni swoim wystąpieniem należyte zrozumienie przeszłości i zajęcie właściwego stanowiska w teraźniejszości przez tę większość masy żołnierskiej b. AK, która oszukana i opuszczona przez własnych dowódców stanowi dziś marniejący kapitał, szarpany z wielu stron przez różnych kombinatorów politycznych.

Niestety. Oba wystąpienia przedstawicieli AK — pułk. Bobrowskiego i mjr. Hermana — były w analizie przeszłości klasyczną próbą zrobienia jajecznicy bez rozbicia jajka, były niedostateczną próbą wytłumaczenia postawy AK w okresie konspiracyjnym, podjętą przez ludzi, być może dostatecznie uczciwych, aby pozytywnie oceniać teraźniejszość, ale zbyt zrośniętych z przeszłością, aby mieć na nią jasne wejrzenie nawet teraz, kiedy okres konspiracyjny został już zamknięty a wiele faktów, podawanych nam przed tym do wierzenia wyłącznie w ujęciu propagandy londyńskiej, wyjaśniło samo życie. Trudno oprzeć się wrażeniu, że obydwaj ci oficerowie w okresie konspiracyjnym przebywali raczej w klimacie dowództwa niż tzw. dołów AK, które znają bądź nie doceniają ewolucji, jakiej dokonały w świadomości żołnierzy b. AK powstanie warszawskie, wyzwolenie kraju spod okupacji i pierwsze miesiące niepodległego bytu, i że wobec tego ich ocena przeszłości nie odpowiada poglądom i nastrojom, jakie nurtują w tej chwili w masach żołnierskich b. AK. A przecież bez należytego rozumienia i oceny przeszłości nie ma właściwego i jasnego stosunku do teraźniejszości.

Mjr. Herman usiłował w swoim referacie przeprowadzić tezę, że błędna polityka rządu londyńskiego, która wyznaczała taktykę Armii Krajowej, wynikała z wadliwej oceny sił biorących udział w wojnie, z ulegania hasłom politycznym z okresu romantyzmu polskiego i późniejszych, w których objawiła się wyłącznie postawa antyrosyjska i z niezrozumienia ogólnych procesów dziejowych w świecie. Punkt trzeci jako zbyt mało konkretny wymyka się spod dyskusji, zaś co do dwóch pozostałych łatwo udowodnić, że nawet w obrębie świadomości politycznej referenta nie nadają się do obrony, bo czymże wytłumaczyć, że rząd londyński nie zmienił swojej polityki choćby w tej fazie wojny, kiedy rachunek sił był już całkiem jasny i kiedy angielscy politycy publicznie skłaniali go ku temu? Rząd londyński w ogóle nie liczył się z realnym układem sił w świecie, natomiast pragnął wywołać taki układ, w którym jego antysowiecka polityka doznałaby realnego poparcia. Podszeptując do kraju sugestie o dwufazowości polityki angielskiej, która w pewnym momencie wojny miała ulec raptownemu zwrotowi, okazał się rząd londyński nawet jako reakcyjny kalkulator beznadziejnie głupi i krótkowzroczny.

Mjr. Herman zastrzegł się lojalnie, że nie ma mandatu do występowania w imieniu ogółu żołnierzy b. AK i słusznie, ponieważ większość tych żołnierzy patrzy dziś na zagadnienia dopiero co minionej przeszłości daleko jaśniej i prościej niż mjr. Herman. Historia wojny dostarczyła naszemu pokoleniu żywego i klasycznego przykładu, jak zażarcie i perfidnie potrafią warstwy posiadające bronić swego stanu posiadania i swoich zagrożonych pozycji, choćby wbrew interesom olbrzymiej większości narodu. Na tym wielkim i dotkliwie bolesnym przykładzie, którego cząstką był każdy z nas i każdy Polak w tej wojnie, prędko dojrzewają masy narodu, dojrzał i żołnierz AK, kiedy wbrew wieloletnim przygotowaniom do generalnej rozprawy z Niemcem wepchnięto go koniec końców w ślepy zaułek, gdzie nie pozostawało już nic innego jak stanąć do walki przeciwko własnym demokratycznym ideałom w odrodzonej ojczyźnie. Poprzez szeregi AK przewinęło się w latach okupacji kilkanaście dziesiątków tysięcy ludzi z najrozmaitszych środowisk. Byłoby absurdem przypuszczać, aby walcząc o wolność narodu walczyli oni o własną niewolę na folwarku, w fabryce lub w urzędzie. Hasło wolności oznaczało dla nich przede wszystkim wolność człowieka pracującego od głodu, nędzy, ucisku i ciemnoty, wolność człowieka pracującego w swobodnym tworzeniu własnej kultury narodowej, a nie wolność obszarnika w wyzyskiwaniu chłopa, nie wolność dla rodzimego i obcego kapitału w swobodnym żerowaniu na pracy ludzkiej. Dziś żołnierz b. AK rozumie lepiej niż kto inny, że postawa antysowiecka wszczepiana mu w duszę przy pomocy jakże rozbudowanego aparatu propagandowego była w istocie wyrazem społecznie reakcyjnego charakteru obozu londyńskiego. Dziś ten żołnierz rozumie, że zawoalowana frazesem patriotycznym teoria dwóch wrogów była w istocie wyrokiem zagłady dla narodu polskiego, wydanym w imię kapitalistycznych interesów kliki rządzącej. Naród polski nie jest narodem idiotów i dlatego zrozumiał, że bez powalenia Niemiec nie mogło być mowy nie tylko o odbudowie państwa, ale i o ocaleniu narodu polskiego, i że to powalenie bez udziału i krwawego wysiłku Czerwonej Armii nie byłoby możliwe. Rozumiał to cały świat, rozumiały to sprzymierzone kraje anglosaskie, dlaczego nie chciał tego zrozumieć obóz londyński? Bowiem wyzwolenie Polski przy pomocy Czerwonej Armii oznaczało zarazem wyzwolenie nowych sił społecznych i zwycięstwo rzeczywistej demokracji.

Opowiedział mi onegdaj jeden z oficerów AK, że kiedy latem 1943 r. był z delegacją u komendanta głównego AK, aby ustnie referować wniosek oddziału o wzmożeniu akcji dywersyjnej przeciwko transportom niemieckim na wschód w związku z nasileniem terroru niemieckiego na ziemiach polskich, ten odpowiedział delegacji: „Koledzy, powinniście szyny masłem smarować przed tymi wagonami, aby prędzej na front dojechały. Toż oni za nas wykonywują robotę". To było zaledwie na kilka tygodni przed serią straszliwych egzekucji ulicznych w Warszawie i wszystkich miastach Polski. Głupota koncepcji politycznej czy cyniczna zdrada? Dziś nie można mieć wątpliwości. To była zdrada interesów narodu dla ratowania interesów klasy.

My, żołnierze powstania warszawskiego, mamy jeszcze świeżo w pamięci, jak radosnym zjawiskiem był w czasie powstania każdy samolot sowiecki nad płonącą Warszawą, jak bardzo pragnęliśmy wówczas, w ciągu tych koszmarnych tygodni, kiedy dogorywała stolica, przybycia Armii Czerwonej i jak bardzo byliśmy oszukiwani, gdy nam mówili o porozumieniu z dowództwem radzieckim ci, którzy z powstania chcieli uczynić demonstrację polityczną właśnie przeciwko Związkowi Radzieckiemu i państwom anglosaskim, aby wymusić na nich poparcie dla swojej antyradzieckiej polityki. Żołnierz AK, który wówczas nadaremnie wyglądał współdziałania z Armią Czerwoną, dziś wie, gdzie jest jego naturalny sprzymierzeniec, gdyby bestia niemiecka po latach znów próbowała zerwać się z łańcucha.

Powstanie warszawskie wykazało, jak olbrzymia była gotowość społeczeństwa polskiego do bezpośredniej walki z Niemcami i jak olbrzymi kapitał zwycięstwa w tej wojnie został zmarnowany, podlegając w lwiej części administracji z Londynu, który pragnął go ochraniać dla późniejszej walki z Rosją Sowiecką. Wola walki z Niemcami była w szeregach AK większa niż pragnęli wodzowie. Uznane wreszcie przez dowództwo AK hasło walki ograniczonej zostało w gruncie wymuszone na nim coraz liczniejszymi wypadkami samowolnego chwytania za broń przez żołnierzy, na których działał zaraźliwie przykład innych grup bojowych, zwłaszcza GL i AL. Świadczy to równie chwalebnie o armii, jak haniebnie o jej przywódcach. Odczuwając coraz natarczywszą potrzebę legitymowania się walką wobec społeczeństwa, dowództwo AK zapisywało na swój rachunek również czyny niepodporządkowanych sobie oddziałów. W warunkach konspiracji i powszechnej dezorientacji, całkowitej niemożności sprawdzenia — mogły takie kawały z łatwością uchodzić. Ci, którzy głębiej tkwili w życiu podziemnym i stykali się z metodami propagandy londyńskiej, wiedzą, że to nie wymysł. Na Zjeździe Uczestników Walki Zbrojnej słusznie zaprotestowały niektóre grupy przeciwko takiemu zawłaszczeniu owoców ich krwawego wysiłku. Szara masa bojowców i żołnierzy AK nosi w sobie do dziś zapiekłą ranę, że nie było im dane stanąć do otwartego boju z niemieckim okupantem u boku regularnej armii, a więc Armii Czerwonej, i że w momencie kiedy się takie możliwości pojawiły po 5 i pół latach potwornej okupacji niemieckiej, wodzowie AK mieli odwagę planować porozumienie z tymiż Niemcami przeciwko Czerwonej Armii.

Demokratycznej masie żołnierskiej AK nie oszczędzono hańby wprowadzenia do wspólnej z nimi organizacji — sławetnym rozkazem Bora z marca 1944 r. — NSZ, który wniósł do AK „zaszczytny" i wcale bogaty dorobek: szereg denuncjacji w gestapo i mordów, indywidualnych i zbiorowych, dokonywanych na Żydach i demokratach (w ich liczbie również na demokratycznych żołnierzach AK, żeby wymienić tylko zamordowanie inż. Makowieckiego, piastującego zresztą wysoką funkcję w sztabie AK, którego jednak ci faszyści po włączeniu ich do AK nie mogli tolerować w swoim gronie jako nazbyt wielkiego dla nich liberała), wyprawy zabużańskie dla walki z partyzantką sowiecką i piękne możliwości bliższej współpracy z Niemcami. Zamierzone prace historyczne Związku Kombatanckiego wykażą, ile w tym dorobku miała ukrytych udziałów komenda AK, zanim jeszcze oficjalnie podporządkowała sobie NSZ. Są podstawy do przypuszczeń, że było ich niemało, że NSZ był powiązany wieloma nićmi z kierownictwem AK jeszcze zanim stał się oficjalnie ich częścią składową, że już wówczas stanowił najwierniejszą pretoriańską kohortę używaną do siania terroru we własnych szeregach i do wykonywania rozmaitych delikatnych robót, do których nie można się było przyznać publicznie. Związki NSZ z „dwójką" AK są dla historyka najbardziej obiecujące. Jeśli w marcu 1944 r. kierownictwo AK na rozkaz z Londynu zdecydowało się jawnie i formalnie połączyć z NSZ, zdając sobie sprawę, że dla większości postępowo i demokratycznie nastrojonych żołnierzy będzie ten krok prowokacją, to oczywiście miało ku temu własne powody. Przypomnijmy sobie sytuację na froncie wschodnim. Zbliżała się Czerwona Armia, rachunek sił był już jasny. Dla kierownictwa AK wojna z Niemcami była zasadniczo skończona. Przystąpiono do montowania nowej organizacji podziemnej przeciwko Armii Czerwonej i w tym celu przyleciał z Londynu ze specjalnymi instrukcjami gen. Okulicki. Do tej roboty ludowy masyw żołnierski AK nie mógł być brany w rachubę jako niezbyt pewny i można było przestać się z nim liczyć. Trzonem nowej organizacji miały być eneszetowe żywioły w AK. Dla ułatwienia im przyszłego zadania zdecydowano się przekazać im cały dorobek i firmę AK, aby w otumanionym społeczeństwie, które czuło pewien sentyment do inicjałów AK, mogli występować nie jako obrońcy klasowych interesów polskich posiadaczy, ale kontynuatorzy walki o granicę i suwerenność państwa. Te to właśnie oddziały wypisywały w kilka miesięcy później na murach i parkanach w województwie białostockim: „Po czym poznać Polaka, Że należy do AK", a jednocześnie broniły dworów przed parcelacją, zabijały chłopów uprawiających działki, nadane im z parcelacji, mordowały Żydów itp.

Tak wyglądały politykujące cynicznie „góry" AK i ich NSZ-towi żandarmi życia podziemnego. Rodzi się pytanie, jak zdołały ogarnąć swoimi wpływami tak szerokie kręgi społeczeństwa? Naród, stanąwszy w obliczu zagłady, nie w polityce szukał ratunku, ale w zbrojnym wysiłku, stąd prymat czynnika wojskowego nad politycznym w całym naszym życiu podziemnym. Zwłaszcza młodzież, dojrzewająca w latach wojny i nie mająca żadnej szkoły politycznego myślenia, nie polityki szukała wstępując do AK. Dysponując znakomitą przewagą środków finansowych, technicznych i propagandowych zdołał rząd „londyński" i jego krajowi wykonawcy wziąć w porę stery życia podziemnego w swoje ręce, narzucić społeczeństwu hasło jedności i karności, wytworzyć atmosferę moralnego terroru wobec usiłujących kroczyć własnymi drogami. Postać Sikorskiego, która pojawiła się na emigracji w początkach okupacji, była dla większości społeczeństwa wyrazem zerwania z sanacją. O późniejszych wydarzeniach i atmosferze w zatęchłym światku londyńskim kraj był słabo informowany. Zresztą osoby Mikołajczyka i później Arciszewskiego wypełniały rolę niesanacyjnego parawanu dla sanacyjno-endeckiej polityki. Sanacyjna przeszłość kierownictwa krajowego maskowała się konspiracyjnym kryptonimem. Dla przeciętnego żołnierza liniowego, który spełniał swój obowiązek, szkoląc się lub szkoląc innych do walki pod okiem okupanta, albo biorąc udział w akcjach przeciwko okupantowi, osoba wyższego dowódcy mogła być znana co najwyżej z kryptonimu i podejrzaną nieprzyzwoitością byłoby dociekać jej przeszłości. Osobiście do końca nie znałem nazwiska swojego dowódcy i w konspiracji nie zdawałem sobie sprawy, że kierownictwo AK to prawie cały półświatek sanacyjny sprzed wojny.

Węzłowym zagadnieniem propagandowym dla obozu londyńskiego był stosunek ZSRR do Polski. Wspomagany w tym przez propagandę niemiecką, lansował uporczywie tezę, że ZSRR zamierza na wzór Rosji carskiej podbić naród polski, zniszczyć go, odebrać mu swobodę w urządzaniu się, wreszcie wcielić jako XVII republikę do ZSRR. Duża część społeczeństwa, pozostającego w zasięgu propagandy londyńskiej, uległa, ulegli nawet ci, którzy dziś w pełni aprobują społeczne i gospodarcze reformy rządu, którzy pochwalają jego politykę w przeszłości jako jedyną realną drogę do niepodległości i demokracji. Uległ również żołnierz AK. W swej masie pozostał wprawdzie bierny na wezwanie świadomych obrońców starego ładu do walki bratobójczej, uległ jednak psychozie nieufności i strachu, że [illegible] ukarany nawet za walkę z Niemcami w ramach AK.

Skończyła się wojna, przyszedł Poczdam i konferencja moskiewska, rozkruszyła się podstawa nieufności. Amnestia reguluje zagadnienie strachu przed urojoną odpowiedzialnością. Żołnierz b. AK widzi, że już dotychczasowe osiągnięcia demokracji w Polsce otwierają możliwości rozwojowe dla narodu, zdolne rozpłomienić największy młodzieńczy entuzjazm, i oczekuje na dłoń pomocną, która by mu otwarła wrota do twórczej pracy, która by zdjęła z jego ramion poczucie winy, która nie jest jego winą, która by uznała, że zdał swój egzamin z patriotyzmu na barykadach i udowodnił, że żołnierz może zostać bohaterem, nawet kiedy dowódca jest głupcem lub zdrajcą. Tego oczekiwał od Zjazdu Uczestników Walki Zbrojnej.

Gen. dyw. Spychalski, który wygłosił na zjeździe świetny i z naukowym obiektywizmem opracowany referat o walce zbrojnej narodu polskiego z niemieckim okupantem, zaznaczył w konkluzjach: „Tutaj, na tym zjeździe, jest zrobiony nowy wielki wysiłek, żeby zasiąść razem i stworzyć warunki do wciągnięcia do współpracy tych wszystkich, którzy dotychczas nie zdecydowali się stanąć do budowy Rzeczypospolitej."

Aby ta zapowiedź mogła dać realne wyniki, trzeba sprawę postawić jasno. W społeczeństwie i wśród szarej żołnierskiej masy b. AK są żywe chlubne tradycje AK, jak żywe są jeszcze wspomnienia prowadzonej walki i poniesionych ofiar, ale jednocześnie narasta coraz głębsza świadomość haniebnej roli kierownictwa. Problem AK nie może być traktowany w całości. Tak stawiają sprawę właśnie ci, którzy pragną zdyskontować chlubne tradycje żołnierza liniowego dla własnych celów, dla ponownego wprowadzenia się na widownię życia, albo ci, którzy tkwiąc jeszcze jedną nogą w przeszłości, usiłują siadać okrakiem na barykadzie. Chlubne tradycje AK, które wywalczył prosty, ofiarny żołnierz i oficer liniowy, nie mogą i nie powinny być oddane nikomu do dalszej eksploatacji politycznej. Powinny podlegać ochronie prawa, tzn. że gdyby dziś ktokolwiek strzelający spoza płotu lub w inny sposób usiłujący wsadzać kół w szprychy wozu państwowego, z takim mozołem ciągnionego przez naród na twardy szeroki szlak, mienił się być żołnierzem AK, to powinien być ukarany nie tylko za swój czyn zbrodniczy, ale i za oszukańcze nadużycie nazwy organizacyjnej, jak karze się bandytę, który dla ułatwienia sobie bandyckiego procederu przybiera mundur żołnierza.

Żołnierz b. AK pragnie, aby jego wczorajszy trud żołnierski i dzisiejsza praca służyły wyłącznie Polsce, której rozkwit i wielkość widzi w demokracji.

TADEUSZ KWIATKOWSKI

Przymierze z wybrzeżem

PRZEZ SKRAWEK ZIEMI MAZURSKIEJ

Ziemia mazurska, układająca się po obu stronach toru kolejowego, ziemia Smętka i zatartych polskich tropów przyjmuje dzisiaj innych ludzi. Jeszcze nie ma ich tylu, aby wypełnili wszystkie jej domy, zarzucili stodoły zbożem, wyciągali srebrne ryby z licznych jezior, ale codziennie leniwe lokomotywy z rzędem czerwonych wagonów przywożą nowych gospodarzy tych pól i lasów.

Kraina przyłączona do Polski — dawna pięść grożąca od północy mapie polskiej — czeka cierpliwie. Pociąg zatrzymuje się w Iławie, stary napis dworcowy „Ellau" służy teraz jako pomost drewniany przy przechodzeniu z toru na tor. Dalej, na stacji w Prabutach wszyscy już zapomnieli o Riesenburgu, a Littlchen i Gross Krebs brzmią jak niezręczny anachronizm przy Grabówce i Karczmie Małej. W wagonie przesiedleńcy są oburzeni, wystawiają głowy i sylabizują napisy. Niedawno tak samo męczyli się z odczytywaniem niemieckich obwieszczeń dla nieniemieckiej ludności. Któryś wyraża się nieparlamentarnie, co sądzi o tym. Na szczęście postój jest krótki i nie ma czasu na demonstracje. W przeciwnym razie nie ręczyłbym za moich towarzyszy. Na pewno naczelnik stacji cośkolwiek ucierpiałby na tym. Ktoś tu zawinił. Czy te budynki z czarnymi literami, ze zmęczonymi funkcjonariuszami PKP, czy naukowcy, którzy powracają tym nazwom słowiański charakter?

Kwidzyń (Marienwerder znikł bezpowrotnie). Z okien wagonu nie nasuwa się wcale myśl o Konradzie Wallenrodzie. Kwidzyń jest brudny. Walają się wciąż jeszcze ślady niemieckiej klęski — obok spalonego czołgu rozprute pierzyny, obok skrzyń ze zardzewiałymi pięściami pancernymi, pokrytymi już warstwą ziemi, połamany fotel, paki, puszki z konserw Jakoś zapomina się, że pięćset lat temu spiskowano w tym mieście przeciw hegemonii pruskiej i głosowano za przyłączeniem do Polski, jakoś nikt nie ma ochoty oglądać trzynastowiecznego zamku krzyżackiego. Tylko ci, co mają tu stację końcową, wysiadają niechętnie i długo patrzą za nami, kiedy znikamy w perspektywie szyn. Jestem przekonany, że pierwszym ich czynem na tej ziemi będzie uporządkowanie dworca.

Na horyzontach lśnią jeziora rozrzucone jak rybie łuski. Przygodny towarzysz podróży, stary chłop jadący się osiedlić na tych terenach, mówi do mnie z entuzjazmem, który nie przystoi wytrawnemu rolnikowi: „Ziemia wysiliła się na nasze powitanie"! Samemu mi było jakoś niewyraźnie, odpowiedziałem mu jednak cynicznie: „Patrz pan, chwasty i chwasty". Odparł mi poważnie: „Zimę się jakoś na tym przetrzyma, a na drugi rok nie poznacie tej ziemi".

„Na drugi rok nie poznacie tej ziemi" — powiedział stary chłop polski. To zdanie winna słyszeć cała Polska. Już dzisiaj Niemcy, którzy jeszcze błąkają się tu i ówdzie, nie poznają jej. Zmieniła się. A co dopiero, gdy tysiące chłopów, którzy tam napływają, powtórzą: „Nie poznacie tej ziemi". Nie będzie już stacji Gross Krebs i Littlchen, a w Kwidzyniu nie znajdzie się ani zdziebełka na peronie.

PIERWSZE SPOTKANIE Z GDAŃSKIEM

Walka o Gdańsk trwała długo. Niemcy zepchnięci do miasta, otoczeni, niszczyli wszystko systematycznie, aby ze swoim upadkiem skazać na śmierć Wenecję Północy. Podpalali dom za domem, wysadzali urządzenia portowe, spuścili tamy. Depresja została zalana masami wód. Wał kolejowy, jak jakiś gigantyczny pomost, rzucony na nieruchomym morzu, prowadzi do miasta. Przydrożne wierzby jak zaciśnięte pięści tonących, rdzawe dachy zabudowań — pozwalają odgadnąć, że istniało tu życie. Woda szara i mętna, docierająca wszędzie, zamykająca szczelnie, stoi szeroka i milcząca. Przy którymś dachu, na tratwie zbitej z drzwi i parkanów, kilku mężczyzn usiłuje wydostać coś przez okna zanurzone dobrze pod wodą. Głosy ich niosą się daleko Kiedy pociąg przejeżdża, opierają się na drągach, jeden macha ręką. Może to znak pozdrowienia, może rozpaczy?

Przedmieścia Gdańska, poszarpane, okręcone drutami telefonów i elektrycznymi, na ogół niewiele ucierpiały. Kto widział Warszawę, Wrocław i Poznań, — o mieście, które straciło tylko część budynków — mówi, że nie jest zniszczone. Mieszkańcy zburzonych miast zachwalają wyłącznie tylko swoje ruiny. W innych spalonych i startych z powierzchni ziemi — wydymają wargi pogardliwie. „Co, tylko tyle?! Zobacz pan nasze miasto". Tak było w moim wagonie. Warszawianie uśmiechali się, przejeżdżając przedmieściami Gdańska. Dało się wyczytać w ich oczach lekką pogardę, kiedy reszta współczuła temu miastu. Mały szowinizm klęski.

Przesuwamy się pod mostem. Pomału pociąg przemyka się pod na pół zwalonym i podstemplowanym prowizorycznie nawisem żelazobetonu. Rumowiska i osmalone ściany otaczają puste czworoboki — obraz, który teraz stale towarzyszy pociągowi.

Na dworcu gdańskim tłumy niemieckich kobiet, starych mężczyzn, niezgrabnych dziewcząt i wyrostków w krótkich spodniach ze sztruksu. Strzeżeni przez milicję — trwają strwożeni przy stosach paczek i tobołków, które pozwolono im zabrać ze sobą. Niektórzy próbują mówić po polsku. Wylegamy z wagonów. Jesteśmy u siebie, w Gdańsku. Dawni, dumni mieszczanie gdańscy, którzy na dźwięk mowy polskiej wpadali w szał nienawiści, czekają na pociągi w kierunku Odry. Gdy patrzę na nich, przypomina mi się pięć lat niewoli. To jest jednak nasza wspaniałomyślność, że pozwalamy im tak bez niczego wyjechać sobie za Odrę. Bo to, że zostawią kanapę i fortepian — to nie jest kara. Ani karą nie będzie dla nich przeżycie utraty ziemi. Co innego powinno ich spotkać za siedem milionów wytępionych Polaków. Wiemy co, ale rzadko dopuszczamy tę myśl. Wolni — szybko umiemy przebaczać.

Teraz spostrzegam, że wielu Polaków, którzy nie widzieli Niemców od chwili uwolnienia, przygląda im się z ciekawością. Ale to już nie panowie świata. Zbieranina ta nie przypomina narodu wybranego To już jacyś pół ludzie, ze strachem w oczach, z usłużnym uśmiechem na każde zawołanie, bez pozorów zachowania godności. Nikt ich tu nie bije, nie potrąca, nie przeklina — przeciwnie, nawet milicjanci pomagają starym kobietom wspinać się na wysokie stopnie. Sielanka, a jakże inny widok, niż setki skazańców polskich, otoczonych kordonem policji, jeszcze rok temu pędzonych na śmierć, bitych i kopanych przez synów i mężów tych germańskich kobiet. Niemcy w Polsce, na Pomorzu, czy na ziemiach zachodnich nie wykazali godnej postawy narodu przegranego. Potwierdzili stare przysłowie: Niemcy nie umieją przegrywać. Płaszczą się teraz i błagają o życie, które jest dla nich obecnie jedyną wartością. Jeden z zaczepionych przeze mnie starców na dźwięk słowa „Hitler" dostaje drgawek, rzuca się jak raniony, bije się pięściami po głowie, złorzecząc władcom swej wielkiej ojczyzny. Mimo wszystko ta reakcja niemieckiego obywatela nie przekonywa, odchodzimy z niesmakiem. Nie wiem, na co przydaje im się manifestacja uczuć w stosunku do Himmlera i wspólników, bo cała grupa zaczyna teraz lamentować. A starzec wybija się ponad wszystkich jak przewodnik chóru. Polacy uśmiechają się i w oczach ich można wyczytać zadowolenie, ale na dnie, gdzieś głęboko nojawia się już współczucie.

KLASZTOR W OLIWIE I SZPROTKI

Kilka kilometrów za Gdańskiem leży miejscowość wypoczynkowa Oliwa. Słynna z pokoju ze Szwedami, wspaniałego klasztoru opactwa Cystersów z dwunastego wieku i ze szprotów, oczywiście nie tych w oliwie. Dzisiaj pamięć o roku 1660 nie istnieje, klasztor stoi nieuszkodzony, a szprotek nie ma, jak w ogóle ryb na wybrzeżu.

Oliwa dawniej była samodzielnym miasteczkiem, dopiero po dwudziestym roku została przedmieściem Gdańska. Obecnie cierpi z powodu tej inkorporacji. Jest to bowiem jedna z nalepiej zorganizowanych gmin polskich na wybrzeżu. Burmistrz miasteczka Jan Wojnarski dokonał cudów. Rozpoczął wielką pracę odbudowy. Tutaj powstał pierwszy polski zarząd miejski na wybrzeżu, tutaj każdy Polak otrzymał opiekę, mieszkanie i pracę, tutaj powstaje powoli ośrodek kulturalny wybrzeża, do Oliwy przeniósł się Instytut Bałtycki i Szkoła Muzyczna. Gdańsk chętnie widzi Oliwę jako swoją przyboczną, niestety tempo rozwoju opóźnia przez wielkomiejską, bezduszną formalistykę urzędową. W szkołach oliwskich kipi nauka. Nauczyciele mówią do dzieci po raz pierwszy o Polsce. Z braku podręczników dzieci składają litery na „Odrodzeniu". Rybacy przy świeczkach sylabizują jeden artykuł po drugim. Uwaga, literaci! Każdego waszego zdania uczy się na pamięć tysiące dzieci, które stawiają pierwsze polskie kroki.

W kościele Cystersów są największe organy w Europie. Podobno gdy grają, ryby podpływają do brzegu.

W Oliwie siedział sobie wygodnie niemiecki biskup Splett. Długa historia była z tym Splettem. Został on powołany na teren wolnego miasta Gdańska na miejsce Irlandczyka biskupa O'Rourke, który był Niemcom niewygodny I nowy biskup zaczął działalność. W Poznańskim pozamykał kościoły, a na Pomorzu popierał je gorąco, bo były doskonałym żywiołem germanizacyjnym. Zabronił ludności spowiedzi po polsku, winnych denuncjował. I tak 500 księży polskich zadręczonych na śmierć w Stutthofie, miało w aktach oskarżenia cichą zgodę niemieckiego pasterza. Cała ludność Oliwy pamięta jego słowa po wrześniu 1939: „Dziękujemy Panu Bogu i Führerowi, że wreszcie odwieczne ziemie niemieckie tzw. wolnego miasta Gdańska, sztucznego tworu wersalskiego, wróciły do macierzy". Wraz z poetą hitlerowskim Karlem Langem prowadził „Ostinstitut" na Pomorzu. W 1942 roku sprowadził na Pomorze niemieckich księży z Ameryki. Po ucieczce wojsk hitlerowskich przybrał pozornie postawę potulnego duszpasterza. W rzeczywistości jednak nie pozwalał osiedlać się polskim księżom, odmawiał im jurysdykcji, nie zwalniał zabytkowego klasztoru, mimo że OO. Cystersi wkroczyli jako jedni z pierwszych na Pomorze. Po śmierci któregoś z kapłanów mianował na jego miejsce niemieckiego księdza ze swego otoczenia Zainteresowały się nim władze bezpieczeństwa. Dziś siedzi czcigodny biskup w celi i rozmyśla. Zapewne o Stutthofie i o wspaniałych mowach na cześć władców niemieckich.

GRUNWALD NAD MORZEM

Na święto Grunwaldu zostałem zaproszony do gimnazjum w Oliwie. Były przemówienia kuratora, reprezentanta wojska polskiego, jakiegoś nudnego adwokata, potem zaczął śpiewać chór i uczniowie deklamowali okolicznościowe wiersze. I byłoby wszystko banalnie, tylko uczniowie śpiewali polskie piosenki, a jak się dowiedziałem, jeszcze nie umieją mówić po polsku. Śpiewali „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród" i „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz", a dopiero uczą się czytać pierwsze zdania polskie. I co jest pewne — młodzież śpiewała szczerze. Są to dzieci ostatnich kategorii Niemców, zniemczonych Polaków. Zaufajmy tamtejszym fanatycznym nauczycielom, przypatrzyłem się im. Na przyszły rok zniknie ostatni ślad niemczyzny.

ZASPA

Specjalnie utworzona komisja w zarządzie miejskim w Oliwie natrafiła na Zaspie koło Gdańska na groby Polaków zamordowanych w Stutthofie. Znaleziono karty z kartotek cmentarnych, z których wynika niezbicie, że leżą tam setki straconych więźniów polskich. Odkryto również groby obrońców poczty w Gdańsku z 39 roku. Tak z dnia na dzień w każdym zakątku Polski odnajduje się nowe ślady zbrodni okupanta. Komisja oliwska przygotowuje specjalny memoriał w sprawie tych masowych grobów i obozu w Stutthofie, w którym zginęli znani działacze pomorscy, jak Liczmański, dr. Mirau, poseł Lendzion i ks. Rogaczewski. Trzeba otwierać groby, niech otwarta ziemia krzyczy — to są najlepsze dokumenty na konferencję pokojową. Niech świat uwierzy, że tam, gdzie tylko był skrawek Polski, więcej grobów, niż chat.

MORZE ZA DRUTAMI KOLCZASTYMI

Żyjący w mistyfikacjach Niemcy zrobili sobie tutaj dla lepszego samopoczucia mały wał północny. Zrobili jak umieli i z czego tylko mogli. Więc morze podpływa do zasieków, za którymi są rowy strzeleckie w piasku, podtrzymywanym deskami z różnych kurhausów; drzwiami z kabin kąpielowych.

Pod piaskiem zagrzebali miny, ustawili karabiny maszynowe i czekali na inwazję. Pewnego dnia Rosjanie zaszli ich od strony lądu, musieli się więc zwrócić w przeciwnym kierunku. Na drogach prowadzących z Oliwy nad samo morze wiele spalonych czołgów, walka była zażarta. Nie było dla nich ucieczki, z jednej strony morze, z drugiej nie do przebycia wał wojsk radzieckich i polskich tarasowały drogę.

Teraz morze powoli wyrównuje ślady wojny. Porywa zasieki, wygładza leje po bombach, dzień w dzień nanosi szczątki zatopionych statków, które przykrywa grubą warstwą piasku. Jedynie niezniszczone molo w Sopocie i uprzątnięta obok plaża przypominają przedwojenne kąpielisko. W zatoce patrolują poławiacze min. Co jakiś czas silna detonacja i słup wody. O jedną minę mniej. Porucznik marynarki wojennej objaśnia, że najgroźniejsze miny — to amerykańskie, rzucane z samolotów jeszcze w roku 1943. Wiele nieostrożnych statków wyleciało już w powietrze, morze bowiem zrywa miny z kotwic i niesie ku brzegowi.

DRUGIE SPOTKANIE Z GDAŃSKIEM.

Gdańsk jest połączony z Gdynią liniami autobusowymi, poza tym ciężarówki kursujące między tymi miastami zabierają pasażerów. Nie trudno się dostać do centrum Gdańska. Biegnę na miejsca, które podziwiałem dziesięć lat temu. Niestety. Gdańska nie ma. Jedno wielkie pogorzelisko. Dwór Artusa — nawet z tych szczątków nie można domyśleć się jak wyglądał. Zniknął tak znamienny dla panoramy gdańskiej stary żuraw przeładunkowy, zniszczone są zabytkowe kościoły św. Katarzyny, św. Józefa. Cisza trwa nad ruinami. Cisza, która zamknęła w sobie wieki kultury. Ale niedaleko, na placu Dominikańskim już tętni życie. Setki Niemców sprzedają swój dobytek. Uwija się wśród tłumu wiele Polek i Rosjan. Odkupują teraz rzeczy, które musieli zostawić wysiedleni przez Niemców.

Gdańsk-miasto, które stało się ogniem zapalnym tej wojny, leży w gruzach. Podzieliło los wielu innych miast. Nie szukaj w nim znaków polskości czy niemczyzny. Jest nijakie.

CZŁOWIEK NA WYBRZEŻU

Razem z wkraczającymi wojskami ciągnęli na Pomorze szabrownicy. Korzystając ze steroryzowania ludności niemieckiej działaniami wojennymi, mieli zamiar zgromadzić sobie magazyny użytkowych i cennych rzeczy. Wielu zrobiło rzeczywiście na trupach tych miast majątek, starczący na kilka lat próżniaczego życia. Lecz stała się rzecz dziwna, większość, kiedy zobaczyła morze znowu polskie i naokoło tylko Niemców, zakasała rękawy i zabrała się do ciężkiej roboty. Objęli placówki administracyjne i zaczęli rządzić. Porwał ich kołowrót pracy. Dalsi poszukiwacze łatwego zysku spotkali się już z ich strony ze zorganizowanym oporem. Powoli zrodził się między sąsiadującymi miejscowościami wyścig o pierwszeństwo w przywróceniu polskości na odzyskanych ziemiach. Wiatr morski spalił oblicza tych pionierów, którzy z pospolitych spekulantów wojennych stali się osadnikami, walczącymi o całkowite przywrócenie praw naszych nad morzem.

Niemcy zachowują się delikatnie. Ten i ów próbuje jeszcze interweniować u władz radzieckich, aby pozostawiono go na miejscu. Udają nawet, że nie zauważają polskich urzędów, a rozporządzeń nie umieją jakoś przeczytać. Dopiero odsyłani do władz polskich, łagodnie dają się przekonać, że sprawa jest jasna. Za Odrę. Ta wytyczna jest przeprowadzana konsekwentnie przez zarządy miejskie. Choć każdy Polak zna jednego porządnego Niemca, nie ma względów dla nikogo. Żaden Niemiec nie jest tak konieczny, aby się Polska, nawet w gruzach, nie mogła bez niego obejść. Niemcy bowiem starają się wykorzystać swoje stosunki, choć najdrobniejsze, z Polakami. Na drzwiach widzi się napisy „Tu mieszka Polak". To rodzina niemiecka, u której mieszka polski urzędnik, stara się uchronić mieszkanie przed rekwizycją. Albo „Pracuję jako służąca u Polaka". Ta znowu chce się obronić przed wyjazdem do ojczyzny. Żadna jednak wywieszka nie pomaga. Akcja wysiedleńcza jest w toku.

Na ulicach Sopotu, Gdańska widzi się stare matrony niemieckie z plikami dzienników. Stoją na rogach i pokrzykują — „Nasze Mosze" lub „Wolna Polszka". Nigdy nie przypuszczał dumny Hans w partyjnym mundurze, że jego matka będzie sprzedawać gazety w polskim mieście. Sam pewnie buduje teraz Stalingrad lub kopie węgiel w Donieckim Zagłębiu.

Tam, na obszarze, gdzie jeszcze mieszkają Niemcy, widzi się dopiero klęskę Niemiec. Ta klęska, największy upadek państwa w dziejach, to nie zniszczone miasto czy spalone muzeum — to zawiedziony człowiek. Obywatel niemiecki przyzwyczajany do roli wyłącznego władcy kuli ziemskiej — ten stojący z oddaniem przed młodym Polakiem, który dyktuje mu swoje prawa, ta nauczycielka gimnazjum, służąca u polskiego urzędnika, ten wyrostek, o którego przyszłość drżą niepewni rodzice — to rzecz wisty upadek Niemiec, załamanie psychiczne i długa, beznadziejna, wegetacyjna przyszłość. W nowo organizowanym świecie nie ma dla Niemiec miejsca, może być dzisiaj z nimi lepiej, mogą alianci patrzeć jeszcze przez palce, ale to tylko chwilowy trick polityczny. System społeczno-polityczny Niemiec przegrał gruntownie tę wojnę, a razem z nim człowiek niemiecki. Nowego na razie nie widać.

GDAŃSKA SZAFA I KSIĄŻKA

Wielki propagator niemczyzny na Pomorzu, poeta hitlerowski Karl Lange wyleciał ze swojej willi w przeciągu dziesięciu minut. Kiedy milicja przyniosła mu nakaz opuszczenia mieszkania, powiedział drwiąco: „Und was noch?" Przekonany doraźnym argumentem, zaraz uspokoił się i już cicho wyjechał na Zachód. Pozostawił bogatą bibliotekę, dobre kilkanaście tysięcy tomów. W bibliotece tej jednak nie było ani jednej książki w obcym języku. Poeta hitlerowski czytał tylko po niemiecku, nie mógł bowiem skazić sobie smaku i rasy obcymi wpływami. — Książki leżą na ulicy. Niestety urzędnicy nie zawsze rozumieją, że książka niemiecka może jeszcze do czegoś służyć, załatwiają się z nią prosto: albo palą, albo wyrzucają, jako przedmiot bezwartościowy. Nowi przybysze, chcąc podkreślić swój zapał do niszczenia tego, co jest poniemieckie, upraszczają sobie ten proces przez masowe dewastowanie książki niemieckiej. Zamiast oddać do biblioteki, niszczą nieraz cenne wydania i białe kruki bibliofilskie. Są nawet tacy, którzy w uniesieniu inkwizycyjnym skazują na śmierć książki francuskie i angielskie. Sam znalazłem porzucone pod jakimś domem pierwsze wydanie wolterowskiego Kandyda.

Pociąga natomiast gdańska szafa i para pięknych foteli. Te rzeczy zbiera się i lokuje w bezpiecznych miejscach. Początkowy szaber i handel antykami całkowicie upadł. Gdańska szafa wraca na swoje miejsce. Poznałem nawet jednego nawróconego szabrownika, który zwrócił fotel z Czerwonej Sali ratusza gdańskiego. Tłumaczył się, oczywiście, raczej przed samym sobą, bo sumienie go gryzło, że tylko przechowywał ten mebel do czasu unormowania stosunków Co go ruszyło, nie wiem. Może niewygodnie było w nim siedzieć, może powiedział mu ktoś, że taki fotel musi stać przy gdańskiej szafie, a takiej nie posiada, może zrozumiał, że to była zwykła kradzież, zwana przez szabrowników, ze względów zasadniczych, zabezpieczaniem dobra publicznego. Chyba to właśnie. Tak, ludzie nad morzem poprawiają się. Morze spłukuje powoli brudy. Wybrzeże zaczyna prawdziwie żyć. Zawarliśmy z nim już na stałe przymierze.

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Borem, lasem...

Oddział posuwał się szybkim marszem. Chmura kurzu zasnuła maszerujących i tylko miarowy odgłos świadczył o tym, że pełzający obłok ma stokilkadziesiąt podkutych gwoździami kończyn. Znużona, splątana droga rozwijała się mozolnie pod nogami piechurów. Wielogodzinny marsz osiadał ołowiem w całym ciele, usztywnione nogi grzebały w sypkim, miałkim piachu i miesiły go na ciasto. Ludzie maszerowali przygarbieni, na grzbietach nieśli plecaki, tornistry albo zgoła zwykłe parciane worki, na pośladkach kolebały się chlebaki, torby z amunicją, kwiliły metaliczne manierki, brzęczały łopatki, bagnety. Słońce na niebie rozpalało się coraz mocniej, jakby ktoś podrzucał niezmordowanie paliwa. Od fali gorąca spływającej z nieba schła ziemia, trawy mdlały i kładły się czarne w przydrożnych rowach. Po drodze nie było wsi, spalonego krajobrazu nie przecinał żaden strumień, świat czuć było w ustach jak garść miałkiego, suchego i gorzkiego pieprzu.

— Łączyć... Łączyć... Maruderzy! Łączyć do czoła!

— Do cholery!.. Ćwierć niesiecie w portkach?

Kapral Koziołek krzyczał ochrypłym, przytłumionym głosem i dyrdał od czoła na koniec oddziału.

— Łączyć... Łączyć... Porządek musi być... — Przebierał krótkimi nóżkami, wiercił wypiętym kuperkiem i popędzał swój oddziałek jak owczarek stado.

Rozkręcony oddział pod głosem kapralskim znów się skręcał, ścieśniał, łączył do czoła i maszerował, maszerował. Nagle, płaski krąg pól zamknął się przed zmęczonymi oczami w czarną klamrę lasów. Ta czarna fala zbliżała się i szedł od niej słodki cień i chłód. Oddział zanurzył we wnętrzu tajemnym czujne, długie macki szperaczy i dopiero na znak umówiony ruszył w kierunku skraju lasu. Teraz macki szperaczy skurczyły się i przywarły do czoła i boków oddziału. Oddział zanurzył się głębiej w las, a lekkim nagle nogom zaczęła twardnieć leśna szeroka ścieżka.

Słońce schodziło na drugą połowę nieba, skośne długie promienie przebijały gęstą, zieloną chmurę nad głowami maszerujących i frunęły jak lekkie, świetliste motyle, przysiadając na mchach i czerwonych pniach sosen. Z gęstej poręby, z ciemnego, niezgłębionego łona, z pachnących żywicą piersi lasu, zaczęła się sączyć przejrzystą, czystą strugą nuta jakiegoś leśnego ptaka. Śpiew to wzbijał się wysoko, to znów opadał jak cudowna srebrna sieć na głowy, drżał na gałązkach smukłych jasnych brzózek, wsiąkał w ziemię.

Chłopcy przysiadali w marszu na mgnienie i szybkimi palcami darli czarne jagody i czerwone kwaśne borówki.

— Łączyć... Łączyć... — leciał od czoła głos Koziołka.

Dowódca dał znak: „Oddział stój". Odpoczynek.

— Siad, siad! Odpoczywejta! Tylko jednym półdupkiem siedzieć, bo „wilka" który złapie — krzyczał Koziołek.

Ale ludzie nie słuchali, walili się na ziemię jak ciężkie kłody drzewa. Snięci, zasypani szarym kurzem leżeli w pełnym oporządzeniu z karabinem w dłoni, jak martwe, przewrócone na grzbiet chrabąszcze. Z miejsca zasypiali. Gustaw podłożył chrapiącemu Heńkowi zrolowany koc pod głowę i usiadł pod krzewem jakimś, gęstym, pełnym jak naczynie chłodnego cienia, wsadził sobie pod tyłek chlebak przed „wilkiem" i zabrał się do opatrywania nóg. Buciska miał wielkie, o dwa albo trzy numery za duże, połatane z wierzchu przyszczypkami, zelówki należały do świetnej przeszłości. Gustaw szybko ściągnął kamaszki i onuce i zaczął troskliwie oglądać zmaltretowane nogi, ten „skarb piechura", jak mawiał Koziołek. Wiatr rozwiewał śmierdzący pot i chłodził cudownie sparzoną skórę. Pod palcami powyskakiwały białe, miękkie bąble, pełne wody.

— Na tydzień nogi do d..y — zakonkludował Gustaw.

— Może postoimy tu dłużej, trzeba poprzecinać i zajodynować.

Wyrzucił z kamaszków przepocone i starte na sieczkę wiechetki słomy. W słomie noga ma sucho i nie lata po całym bucie. Zawsze Gustaw nosił te wiechetki w chlebaku, na zapas.

— Te! Hrabia — mówili chłopcy — koniom owies wędzi a babom słomę z siennika wyciąga.

Zanurzył płonącą głowę w chłodny krzak, który przyjął go drżącą pieszczotą tysiąca listków.

— Maszerować! Maszerować!

Koziołek latał już od grupki do grupki, od drzewa do drzewa — i krzyczał. Ludzie zrywali się i ustawiali, niektórzy klęli i marudzili, kilku chrapało.

— Wstawaj! Wstawaj, byku! Widzicie go, jak się rozwalił. No dalej, jeszcze sto metrów.

Ale trzech czy czterech nie ruszyło się wcale.

— Cholera z nimi, zabrać tylko karabiny i jazda, jutro dołączą sami.

Oddział przeciągnął się przez wielki las i zanurzył w sosnową porębę. Ogarnęła ludzi chmura kłująca, rozpalona, gęsta, gałązki biły po oczach i twarzy, na głowy opadały srebrne, długie nici pajęczyn i sypał z góry pył sosnowy zmieszany z zapachem złocistym słońca. Ziemia zaplątana w krzewy i wrzosy zaczęła opadać ku dołowi. Sosny rozbiegały się, przeplatane teraz białymi brzozami i olchami szarozielonymi. Wreszcie oczy ujrzały wielką, zieloną polanę; w zieleni błyszczały dwa stawy, jak niespodziewane na ziemi zjawisko, pełne obłoków i nieba.

Oddział rozłożył się w porębie. Na skraju, od strony wielkiego boru wystawiono posterunki alarmowe.

— Kto chce jajka przepłukać, jazda do wody! — krzyczał Koziołek.

— Cygan, konie wyprzęgaj, żeby mi bydlęta nie cierpiały, bo ja ciebie zacznę sianem karmić, boża krówko! Te, Kostrzewa, gdzie lecisz, widzieli go, jak się rozbrykał! Dalej, drużynę służbową i do kuchni, galopem! Oj służba, służba! — mruczał i ocierał rękawem czoło.

Żołnierze zwalali z pleców garby; te wszystkie plecaki, tornistry, chlebaki, koce, worki, torby i sto innych niezbędnych rzeczy i lecieli swobodnie nad wodę. Stateczni leżeli pod drzewami i palili. Wiadomo, woda nie zając. Gustaw pobiegł z innymi nad stawy. Zanurzony w zielony szum szuwarów, brodził w płytkiej, ciepłej wodzie i szukał miejsca, wreszcie usiadł na jakiejś suchszej kępie, jak ptak na gnieździe.

Słońce schodziło coraz niżej ku drugiemu stawowi rozpuszczając różowe smugi po niebie. Na długich sitowiach kołysały się ważki, jakby ważyły swój znikliwy, ulotny ciężar, w zielonej przybrzeżnej wodzie grzebały się żaby z nadętymi gardłami i płukały różowy zachód swym monotonnym rechotem.

Gustaw zdjął szybko mundur i bieliznę. Potem zabrał się z niezwykłą pilnością do przeglądu swej „jadowitej" garderoby. Jak dzięcioł, docierał do wszystkich zakamarków ubrania i wybierał wszy. Dużo tego było, małe i wielkie, czarne i żółte. Wybierał to złe nasienie, ziarnko po ziarnku i puszczał niedbałym ruchem na wodę, pływały sobie gęsto jak żółte jagły. Jaja i gnidy trzaskały pod paznokciami. Inni też przetrząsali z zapałem swoje „ciuchy" w poszukiwaniu „czołgów" Nadzy, miedziani i różowi w zachodzącym słońcu powiewali koszulami i gaciami jak sztandarami. Po drugiej stronie grobli taboryci pławili konie. Brzeg tam był płaski, od wrzosów kwitnących liliowy, tam i sam wystrzelały zielone wodotryski trzcin. Na tę liliową płaszczyznę wypadły nagle z gęstej ciemnej poręby roztańczone centaury. Od tyłu, zad koński wrastał w biały, ludzki tors, centaury uskrzydlone srebrnymi bryzgami wody niosły się tanecznie po płaskim brzegu i zapadały nagle z kwikiem i śmiechem w czarną toń. Wyciągnięte w górę ramiona wieńczyły zielonymi gałęziami krajobraz, przez wzburzoną falę płynęły miedziano-różowe torsy centaurów.

— Jazda chłopaki, koniec zabawy! — krzyczał służbowo Koziołek. Centaury od taborów, jakby wywołane głosem kaprala wynurzały się z fali i przestraszone galopowały dziko po błoniu, aż wreszcie ginęły w gorejącym na widnokręgu słońcu, jak w ognistej czeluści pieca. Za nimi wszyscy ruszyli do obozu, na przełaj.

Las roztapiał w sobie coraz więcej wieczornej barwy mroku, zieleń zmierzchała. Sosny schodziły, skupiały i zbijały się w czarną, nieprzeniknioną masę. Mała poręba była cicha, mroczna; płonął w niej niewielki, przygaszony ogień, jakby czerwone jądro w smolistej masie plazmy. Od ognia płynął znikliwy blask i oświetlał swym chwiejnym, niepewnym skrzydłem grupę żołnierzy. Kucharz Mały kręcił się w tym jasno-rudym, przyćmionym płomieniu jak diabeł z dziecinnej bajki.

— Te, kucharz, co tak długo? Może podeszwy gotujesz? A może szyszki będziemy gryźli, świński cycku! — dogadywali zgłodniali chłopcy.

Mały milczał i ćmił fajkę, w czerwonym blasku fajki wschodziła jego okrągła, tłusta warz, jak różowy księżyc i znów tonęła w mroku. Wreszcie zaczął gadać.

— Te, Niedźwiedź, jużeś tu jest, a mendy wszystkie chociaż utopiłeś, co? Kolacja! Już prosze państwa jadzie, już sie nakrywa! Sieroty zapieprzone! Kolacje! Małe wam jeszcze jaja wstawili, przecie herbate można by zagotować!

— Jazda, ustawiać się w kolejce! — krzyknął wreszcie i stanął nad kotłem jak kapłan przy ołtarzu. Ludzie siorpali gorącą kawę z misek, manierek, garnuszków pozbieranych tu i tam, parzyli sobie wargi i język. Gustaw wypił kawę, rzucił miskę pod jakiś krzak i rozejrzał się za noclegiem. Znalazł zagłębienie w ziemi, między dwoma sosenkami, wygarnął patyki i kamienie i ułożył się tam do snu. Pod głowę wsadził chlebak, żeby było wyżej, zwinął się i leżał w ciemnościach nocy, w szumiącym łagodnie łonie lasu. Było mu coraz cieplej, ale zaczęła swędzić i piec skóra, najpierw pod pachami a potem na udach, brzuchu i pośladkach. To świerzb. Wiercił się i przewracał z boku na bok, wreszcie odrzucił koc i leżał pogrążony w chłodnej fali wiatru. Ugniatało go coś w głowę.

— Pewnie znów ten „Król Duch" — pomyślał — trzeba go wsadzić pod szmaty, ciężkie to i twarde, i tyle z tego pożytku! Wysoko się latało, niby do obozu niosło się w plecaku „Króla Ducha" i „Słowo o bandosie". „Król Duch" leżał przez kilka miesięcy między pakułami, onucami i wiechetkami do butów — trzeba go wyrzucić, tylko cięży w marszu. Przez te kilka miesięcy partyzantki te wszystkie górne i chmurne rzeczy tak twardniały, zamieniały się w ciężar niepotrzebny, trza było ciągle coś odrzucać.

Gustaw leżał i myślał, że to wszystko jest teraz takie szare i zwyczajne, że opisze kiedyś wszystko i będzie z tego długa i nieciekawa historia. Tak jak było, nie można pisać, będą o tym różnie pisali i różne historie z tego powychodzą, „pierdółki inteligenckie", jak mówił szef.

W oddziale nikt nie używał wielkich słów, jakby nie istniały. Nie było tu bohaterów, pola chwały, obowiązku obywatelskiego, zaszczytnej służby, brakło ołtarza ojczyzny — jeśli ktoś zaczynał w ten deseń, bractwo robiło „śmichujaszki", a Koziołek, jeśli był w pobliżu, mówił: — Ale bo, duperele, duperele! Może słusznie. Bo jakie tu i bohaterstwo! Marsz, marsz, marsz, trochę strzelaniny i kogoś tam zabiją. Czyści się karabin, obiera kartofle, goni się Niemców, gniecie wszy, pierze gacie, gubi się świerzba, maszeruje się, strzela, żre świninę — to jakby już wszystko, bohaterstwo, a może to właśnie! A ojczyzna taka ogromna i jest wszędzie, nie myśli się o niej i nie nazywa...

Gustaw owinął się w koc, zrobiło mu się znów ciepło. Wkoło chrapali i świstali śpiący, niekiedy ktoś krzyknął ostrym, obcym głosem przez sen i znów zapadał w mrok, niewiedzę. Ziemia rozgrzana słońcem tchnęła z siebie teraz ciepłym oddechem, płynęła i falowała pod zmęczonym ciałem jak żywy, ruchliwy brzuch kobiecy; ciało niesione tą falą spływało w gęstniejącą ciszę, leciało w otchłań. Z nieba sypał srebrzysty pachnący miał gwiezdny na oczy, usta i myśli, wiatr grał na czarnych piszczałkach sosen jakieś melodie senne, ziemia kolebała na swym łonie do snu. Gustaw poderwał się sprężony, spętany trwogą i po chwili już chrapał z innymi... Otworzył oczy...

Fala jasnego drapieżnego światła rozdarła powieki. Bolały go kręgi, szyja i wszystkie kości... Obok, na kocu siedział Heniek i czyścił „pepeszę". Gustaw obejrzał się frasobliwie na swoją „luśnię" zawieszoną na sęku, nad głową.

— Trzeba będzie przeczyścić lufę, bo światа bożego nie widać — mruknął. Heniek podniósł głowę.

— Gutek, masz obiadek, przyniosłem ci, stoi pod krzaczkiem, grochówka gęsta, ale za to podasz se w „gnyk" kawał świńskiego truposza. — Gustaw przetarł oczy i zabrał się do jedzenia. Koziołek przystanął z boku i zaczął się kiwać jak szkapa dorożkarska.

— Widzita go! Oczęta przetarł. Heniuś mu papu przyniósł. Patrzta no, jak pogłębia kulturę duchową, redaktor!

Gustaw wypluł jakiś twardy groch i zwrócił się uprzejmie do kaprala:

— Odskocz pępek, bo opluje!

Koziołek pokiwał jeszcze głową i kołysząc się godnie jak kaczor, poniósł dalej swój krągły, wypięty służbowo kuperek.

Gustaw skończył obiad, złapał chlebak i pobiegł do wody. Umył się i wyczyścił zęby, o zęby bardzo dbał, bo mu się tu w obozie kiedyś zaczęły ruszać w gębie, obluźnione z osłabienia czy czegoś tam, pamiętał, że mu matka ciągle mówiła o zębach, bo miał śliczne, białe, czyścił pilnie rano i wieczór, choć chłopcy mówili: — „I tak do ziemi, i tak do ziemi!"

Wyprał potem raz-dwa trykotową koszulę, wykręcił i pobiegł z powrotem do obozu. Rozłożył koc koło Henkowego i wywalił z plecaka i chlebaka wszystkie wnętrzności. Z deszczem metalowych, złocistych łusek, między brudnymi onucami i tłustymi szmatkami do czyszczenia broni, wypadła książka średniego formatu, w brązowej twardej okładce z wytłoczonym czarnym tytułem: „Król Duch". Gustaw wziął książkę i ważył ją w dłoni, jakby obliczał ciężar, wreszcie wstał i poszedł w stronę kuchni. W popiele tliły jeszcze rude głownie. Obok ognia stał z rondelkiem Oset. Gustaw otworzył książkę i wydarł dwanaście kart pierwszego rapsodu.

— Co tam tak liczysz i medytujesz, Gustaw!

— A nic! Bo to tylko zawadza...

— Daj no bracie trochę tego papieru, jak ci zawadza, przecie i d..ie sprzykrzyło się to ucieranie listkami i ściółką!

Gustaw się nie odezwał. Z rozmachem cisnął w ognisko książkę; poleciała jak ptak, rozkładając w locie brązowe okładki. Za chwilę z popiołu buchnął jasny, wesoły płomień. Oset kucnął przy ogniu z rondelkiem, wbił trzy jaja i zaczął mieszać łyżką jajecznicę, przyśpiewując:

Stary dziaduś
z siwą bródką
wlazł na kozę
trzęsie d....ą...

— posunął książkę dalej w ogień, karty zwijały się, skręcały czarne i rozpadały. Oset podniósł głowę do góry.

— Ech, Gustaw, bracie znasz to: „Nie czas żałować róż, kiedy płoną lasy"?... To też — Jego.

Po chwili znów podśpiewywał i mieszał jajecznicę. Z popiołu strzelał w górę jasny, radosny płomień

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

ELEONORZE

Ty jeszcze tam daleka, gdzie upały płoną
Pod liści azjatyckich drgającą zasłoną.
Piaszczystą idziesz drogą i kierujesz oczy
Na zachód, gdzie śmierć bliskich naszych się jednoczy
Z minionym naszym życiem. A ja już wróciłem
Do kraju, ku ruinom, śmierciom i mogiłom,
Jak gdybym wrócił ze snu do snu, marnotrawny
Syn siwej od popiołów, zgarbionej Warszawy.
Ty jeszcze wśród glinianych dzbanów i lepianek
Pod liściem winogradu patrzysz jak poranek
Pochyla się nad Sajem i jak góry wieńczą
Snieżnoniebieskie głowy jutrzenką młodzieńczą.
I wielbłądy na zachód niosą twe westchnienie,
Wlokąc po wrącym piasku swe garbate cienie.
A ja już tu codziennie błądzę po Warszawie
I patrzę jak w umarłym łazienkowskim stawie
Tonie sierpień, a z sierpniem twoja postać z moją—
Sześć lat tułaj nad stawem nasze cienie stoją.

* * *

Góry dźwięczą jak prawda, twarda i surowa,
Nadciąga zmierzch. W dolinie śpią fergańskie sady.
Dal wtula się w pijane niebem winogrady.
Płynie jak rechotliwa, wilgotna rozmowa.

Szukasz Polski w tym zmierzchu — i na sypkie piaski
Fada cień twego smutku. Patrzysz jak zaklęty
I z pierwszych gwiazd i z woni azjatyckiej mięty
Wyczarowujesz siwy pejzaż podwarszawski.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

KIEDY SŁUCH

Kiedy słuch do milczenia będę już układał
chcąc zrozumieć materii wymowę spokojną,
to poprzez łoskot globu na drogach wszechświata
usłyszę twe westchnienie ginące za wolność.

Kiedy wzrok jak broń złożę przed tym krajobrazem,
który światło z ciemnością na zawsze zjednoczył,
i na najmniejszą gwiazdę już się nie odważę
powieki podnieść, ujrzę twe gasnące oczy.

A gdy nurt krwi mnie zniesie w tę stronę przestrzeni,
skąd się już nie powraca do kształtu człowieka,
gdzie żaden zmysł nie sięgnie, nie dojdzie wspomnienie,
bo nawet dla pamięci droga za daleka,

tam gdzie już nic nie wzrusza, gdzie niczego nie żal,
bo życie jest marzeniem a śmierć senną zjawą,
tam w mojej piersi pustej twe serce uderza
walcząc o niepodległość z wiecznością, Warszawo.

Bo każda garstka ziemi twoje prochy grzebie
i każdą grudkę nieba twój ogień wciąż trawi.
Nigdzie nie znajdę miejsca, gdzie mógłbym bez ciebie
ciało w spokoju złożyć i duszę mą zbawić.

I jeśli kiedyś jeszcze tak w siebie uwierzę,
że zwątpię ostatecznie w wszelką moc nade mną,
to za to, żem ci życia nie oddał w ofierze,
pozbawię się nadziei na swą nieśmiertelność.

JAN TAŃSKI

O marksistowskie podstawy w ocenach estetycznych

„Nie świadomość ludzi określa ich byt, lecz odwrotnie, ich byt społeczny określa ich świadomość". (M. Marx, „Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej", Dzieła wybrane (wydanie rosyjskie), t. I, str. 269).

1

Przebudowa zasadniczej podstawy świadomości człowieka współczesnego, o ile nie ma być frazeologicznym wykręcaniem się z konieczności zajęcia jednoznacznego stanowiska wobec narastających problemów nowej rzeczywistości międzyludzkiej, sięgnąć musi nie tylko do powierzchownego stosunku do t. zw. „nakazów chwili", ale ma być wyrazem gruntownej zmiany podstaw w ocenie praw rządzących tą rzeczywistością. Wspomniany nakaz chwili bieżącej staje się pustym frazesem w ustach jednostki, która nie potrafi należycie powiązać zdarzeń aktualnych z ciągłością przemian historycznych i równoległymi z nimi, a leżącymi u ich podstaw zmianami rzeczywistości społecznej. Tym, co przede wszystkim utrudnia jasny i zgodny z prawdą pogląd na rzeczywistość historyczno-społeczną, jest przyjęcie postawy filozofii idealistycznej wraz z jej wstecznymi konsekwencjami. Ukute w drugiej połowie XIX w. powiedzenie, iż „przeznaczeniem ludzkości jest gospodarstwo" — udowodnione następnie w całej pełni przez marksizm naukowy, chwyta w sposób dosyć dosadny, ale trafny, istotę rzeczy: marksistowska teoria ekonomii politycznej wykazała dowodnie i niezbicie, iż pomiędzy produkcją, układem społecznym, stosunkami politycznymi i w dalszej konsekwencji istotą kultury w danej fazie rozwojowej zachodzi dający się naukowo wskazać i, co najważniejsze, udowodnić, ścisły związek przyczynowy.

Punkt ciężkości zostaje zdecydowanie przesunięty z podmiotowych wytworów jednostki na prawa społeczne, idealistyczny indywidualizm zostaje przezwyciężony przez podkreślenie zasad społecznego rozwoju. Stąd też marksizm zwraca pilną uwagę na naukowe śledzenie praw rozwojowych rządzących społeczeństwem i na konieczność liczenia się z tymi prawami w formułowaniu wszelkich sądów, mających pretensje do ścisłości i naukowości. Dotyczy to w naszym wypadku najszerzej pojętych zjawisk kulturalnych, które nie są, jak chce filozofia idealistyczna, wynikiem działania jakichś ponadmaterialnych sił duchowych człowieka, ale stanowią wypadkową wspólnych procesów psychicznych masy społecznej. A te procesy psychiczne? Bardzo wnikliwie ujął to zagadnienie Lenin, słusznie uważając psychiczną świadomość człowieka za adekwatne odbicie realnego bytu. Życie psychiczne człowieka, jego sfera „duchowa" nie jest niczym innym jak reakcją mózgu na rozmaite bodźce zewnętrzne, dostarczone poszczególnym aparatom odbiorczym naszych zmysłów przez zjawiska materialne. Dlatego też Lenin stwierdza: „Materia jest tym, co oddziaływując na nasze narządy zmysłowe, wytwarza czucie; materia jest obiektywną rzeczywistością, daną nam w czuciu... Materia, przyroda, byt, to, co fizyczne, jest pierwotne, duch zaś, świadomość, czucie, to, co psychiczne, jest wtórne". (Lenin, „Materializm a empiriokrytycyzm", „Dzieła", t. XIII, str. 119—120).

Jakie konsekwencje, ważne i decydujące, wypływają stąd dla badania zjawisk kulturalnych? Te mianowicie, że podstawą wszelkich rozważań powinny być związki pomiędzy obiektywnymi prawami społecznego rozwoju w danej epoce historycznej a sumą reakcyj twórczej świadomości człowieka na elementy obiektywnej rzeczywistości. Idzie o to, aby z jednej strony przekroczyć ciasne i dezorientujące ramy podmiotowej, „duchowej" wszechmocy i niezależności od bytu realnego w jego socjalnych korzeniach, z drugiej zaś, ażeby wypracować taki aparat środków krytycznych, który by potrafił powiązać wszelkie zjawiska kultury z ogólnymi prawami historycznymi, rządzącymi daną epoką.

2

Literatura należy do tej warstwy faktów, które w sferze ogólnej kultury zajmują jedno z czołowych stanowisk. Szersze ramy, w jakich się mieszczą zjawiska literackie — sztuka — stają się zwykle wykładnikiem istotnego sensu kultury danej epoki i sprawdzianem jej poziomu. Sztuka jednakże nie jest zjawiskiem jednorodnym; poznanie jej i zorientowanie się w istocie sztuki jest sprawą zasadniczą, a metoda poznawcza może się stać bardzo często źródłem daleko idących historycznych nieporozumień, o ile jest oparta o błędne i niewłaściwe kryteria. Idzie przeto o posługiwanie się właściwymi kryteriami.

Dzieła sztuki to są właśnie te wytwory umysłu ludzkiego, które mają wywoływać w świadomości odbiorcy pewne specyficzne stany, zwane przeżyciami estetycznymi. I oto w tym punkcie zaczyna się znamienne, obecnie już „historyczne" nieporozumienie: ocena zjawisk estetycznych idzie po linii nadrzędności stanów wewnętrznych człowieka w stosunku do przeżywanej rzeczywistości, nie liczy się z zasadami prawa obiektywnego istnienia związków pomiędzy zjawiskami w przyrodzie i czyni ze sztuki nie wytwór ściśle uwarunkowany rzeczywistością przyrodniczo-socjalną (w swym najwyższym stadium — humanistyczną), ale wypadkową oddziaływania jakichś bliżej nieokreślonych sił irracjonalnych.

W miejsce jedynie uzasadnionego empiryzmu przychodzi do głosu zaciemniający całe zagadnienie fideizm i dogmatyzm, które tym niebezpieczniej oddziaływują na umysłowość człowieka, iż nie odrzucając nauki — starają się wykazać, że nauka w swej ambicji dojścia do prawdy obiektywnej, okazuje zupełnie „nadmierne pretensje". Marksizm naukowy załatwia się krótko z tym stanowiskiem: „Jeżeli istnieje prawda obiektywna (jak sądzą materialiści), jeżeli jedynie przyrodoznawstwo, odzwierciedlające świat zewnętrzny w „doświadczeniu" człowieka, może nam dostarczyć prawdy obiektywnej, to wszelki fideizm zostaje bezwarunkowo odrzucony" (Lenin, „Materializm a empiriokrytycyzm", „Dzieła", t. XIII, str. 102).

Irracjonalizm pojęcia sztuki przez filozofię idealistyczną wytrąca zasadniczo z rąk podmiotu poznającego wszelkie wiarygodne kryteria wartościujące. Skoro Kant uważa za najważniejszą cechę upodobania estetycznego jego bezinteresowność, czyli jak on to interpretuje — obojętność na fakt realnego istnienia ocenianego zjawiska, stwarza tym samym wygodną furtkę dla wprowadzania oderwanych od rzeczywistości koncepcyj „sztuki dla sztuki", czy też „czystego piękna", które stają się bardzo łatwo bazą dla wszelkich estetyczno-kulturalnych mitów, ciemnych i niesprawdzalnych, a tym samym i nienaukowych.

Jakże wdzięczną wylęgarnią wszelkiego rodzaju wstecznictwa filozoficznego była idealistyczna postawa Fichtego! Wszak skoro rzeczywistość wyrasta z ideału i tylko przez ideał może być określona, to filozof musi przezwyciężyć realistyczny sposób myślenia i zupełnie zobojętnieć na wszelki materiał empiryczny. Jakiż tego rezultat? Ten mianowicie, że rzeczywistość zostaje mierzona miarami pozarzeczywistymi, niewspółmiernymi z jej istotą, a przeto niepoznawalna. Sztuka stawała się mitologią nie dającą się ująć w kategorię naukowe, a podmiotowość badawcza, zerwawszy ze światem empirii, stawała wobec problemów istnienia ogłupiała i bezradna.

Jeszcze dalej posunął się Hegel ze swym ujęciem piękna jako wyrazu ducha absolutnego. Ten filozof germańskiego „posłannictwa", prusaczyzny i ojciec duchowy rasizmu, na długie lata skierował myśl estetyczną na zupełnie fałszywe tory. Odrywając sztukę od podłoża socjalnego, czyniąc z niej konieczny warunek syntezy zjawiska z ideą, uniemożliwił myśli badawczej orientowanie się w prawach powstawania w poszczególnych epokach takiej właśnie sztuki, a nie innej, zaciemnił rozumienie istotnych związków wewnętrznych, warunkujących organiczność poszczególnych dzieł sztuki. Idealizm heglowski negował zasadę analizy i dedukcji, ujmował zjawiska sztuki z góry, a nie od ich korzeni i od wnętrza.

Nie należy naturalnie zapominać o zasługach Hegla, jako tego myśliciela, który sformułował podstawowe cechy dialektyki. Z niej to Marx i Engels wzięli „racjonalne jądro, odrzucając idealistyczną skorupę" (Stalin, „O materializmie dialektycznym i historycznym"). A właśnie o tę „idealistyczną skorupę" chodzi w pierwszym rzędzie. Bo nieumiejętność przełamania się przez te idealistyczne nawarstwienia form interpretacji stoi na przeszkodzie właściwemu stosowaniu zasad dialektycznych w ocenie wszelkich zjawisk kultury.

3

Kontynuacje idealistycznego ujmowania zagadnień kultury w sferze interesującej nas w ramach naszego szkicu znalazły swe szerokie ujście na terenie nowszej i najnowszej myśli niemieckiej. Poszczególni badacze zdawali sobie sprawę z konieczności wyjścia poza fakty jednostkowe i związania badanych zjawisk z jakimś ogólniejszym, podstawowym tłem. Krok jednakże, jaki uczyniono w tym względzie, skierowany został w niewłaściwym kierunku. Pewnej wspólnej płaszczyzny dla zjawisk humanistycznych poszukiwano w sferze t. zw. „obiektywnego ducha" (por. Hans Freyer, „Theorie des obiektiven Geistes", 1923), czyli w tej ponadindywidualnej i pozapodmiotowej dziedzinie, która, będąc wspólną dla psychicznego życia wszystkich ludzi umożliwia im tworzenie pewnych wspólnych wartości i wytworów, jakie w sumie określamy mianem zjawisk kulturalnych. Wartościowanie i ferowanie ocen w tej dziedzinie jest możliwe podobno właśnie wskutek tego, że każda indywidualna psyche odnajduje w „duchu obiektywnym" cząstkę samej siebie i orientuje się wskutek istnienia tych związków.

Nie idzie nam tu oczywiście o walkę z terminem „duch obiektywny" (choć i on mówi wiele sam przez się), ale o sposób określania i interpretowania sfery transpersonalnej i o płynące stąd konsekwencje. Sferę transsubiektywną zidentyfikowano z kantowską sferą transcendentalną, to jest tą, dzięki której możliwe jest wszelkie doświadczenie i która zawiera w sobie formy zmysłowego spostrzegania (czas, przestrzeń) i kategorie naszego umysłu (przyczynowość, substancja). Sfera ta nie jest wynikiem naszego doświadczenia i jako wrodzona właściwość każdego umysłu ludzkiego, jest niezależna od realnej rzeczywistości i dlatego właśnie ponadindywidualna. W tym samym kierunku szła t. zw. „szkoła badeńska" (Windelband, Lask, Rikkert) i niektórzy przedstawiciele „szkoły marburskiej" — (Hartmann, Cohen, Nartorp). Punkt wyjścia mógłby się stać płodny w pozytywne następstwa, gdyby posiadał odpowiednią materialistyczną orientację. Wtedy budowanie na obiektywnie istniejącej i naukowo sprawdzalnej rzeczywistości (której częścią jest sam człowiek) doprowadziłoby do stwierdzenia sfery ponadindywidualnej o aspektach historyczno-społecznych; natomiast w istniejącym stanie rzeczy myśl filozoficzna uległa samozłudzeniu, popełniwszy petitio principii: założono istnienie wrodzonych, nie opartych na doświadczeniu kategoryj umysłu ludzkiego i na ich podstawie „dowiedziono" istnienia sfery „ducha obiektywnego". Trafniej postąpił w tym zakresie Dilthey, budując swą naukę o obiektywizacjach ducha, czyli o systemach kultury. Zjawiska kultury — wedle Diltheya — to zobiektywizowane i żyjące poniekąd własnym już życiem wytwory indywidualnych struktur psychicznych, działające w swych gotowych i skończonych kształtach na jednostki ludzkie. Takie stanowisko nie może jednak obejść się bez tego aparatu wyjaśniającego, jakiego dostarcza marksizm naukowy w formie swych tez o zasadach dialektyki przyrody.

Scharakteryzowana powyżej postawa filozoficzna, przeniesiona na teren oceny estetycznej, zmusza do zajęcia stanowiska zupełnie jednostronnego, a zarazem ukazującego istotę zagadnienia od niewłaściwej strony. Jednostronność ta polega przede wszystkim na nieliczeniu się z tym faktem, że to, co zostało nazwane „duchem obiektywnym", nie może być traktowane jako punkt wyjścia, będąc zjawiskiem nie pierwotnym, ale wtórnym w stosunku do rzeczywistości empirycznej, która właśnie jest praprzyczyną, a nie skutkiem! Niewłaściwość ujęcia zaś, to skazanie się na najdalej posuniętą niesprawdzalną subiektywność sądów i ocen, staczanie się w nienaukowy indywidualizm. W tym szczególnie miejscu należy wyjaśnić, że filozofia marksistowska ceni „indywiduum" twórcze właśnie jako spotęgowany wykładnik epoki, a nie odwrotnie. Indywidualność dostrzega właściwy sens istnienia zjawisk, ale nie jest jej twórcą. Każde odwrócenie tej podstawowej prawdy mści się w swych skutkach: uniemożliwia trafne spojrzenie na rzeczywistość i jej ocenę.

Ocena estetyczna, o ile przyjmie za punkt wyjścia postawę fideistyczną albo stanowisko takie, jak reprezentowany przez Avenariusa (w dziedzinie systematyki) i Macha (w metodologii) empiriokrytycyzm, stanie się niczym więcej, jak wulgarnym rewizjonizmem. A to stanowczo za mało. Nie wystarczy bowiem, nawet przy odrzuceniu wszelkiego dogmatyzmu, zatrzymać się w pół drogi, a potem zboczyć na manowce ewentualności. Idzie bowiem o to, aby przezwyciężyć i strywializowany sensualizm i naiwny psychologizm i wszelki pseudoempiryzm. Walka tych wstecznych i nieproduktywnych kierunków z marksizmem naukowym na terenie poznania i oceny rzeczywistości, kończąca się właśnie w naszej epoce zwycięstwem marksizmu naukowego — dowodzi jasno, ile sił żywotnych posiadają w sobie koncepcje marksistowskie i jak są płodne w każdej dziedzinie nauki. (Por. niezwykle instruktywne i głęboko przemyślane artykuły Stefana Żółkiewskiego „O tak zwanej nieaktualności marksizmu", „Kuźnica" nr. 1, oraz „O pozytywny program kulturalny", „Odrodzenie", nr. 37).

Stanowisko Macha, stwierdzające, iż elementy, z których składa się świat, są przede wszystkim uczuciami, (E. Mach, „Erkenntnis und Irrtum"), zestawione z krytyką tego poglądu przez Lenina („Materializm a empiriokrytycyzm"), że materia to rzeczywistość dana nam w czuciu, wykazuje w sposób dostatecznie jasny, który pogląd jest bardziej płodny. Bo spójrzmy na konsekwencje tych stanowisk: empiriokrytycyzm wiedzie nas do sui generis panpsychizmu i nie pozwala na zrozumienie społecznych warunków, w jakich powstaje sztuka. A przecież nie będziemy chyba dalecy od prawdy, gdy stwierdzimy że sztuka jest estetycznym wyrazem świadomości społecznej i korzeniami swymi tkwi w społecznych warunkach. One właśnie kształtują powstawanie, rozwój i zamieranie poszczególnych gałęzi sztuk, a próba oceny estetycznej, nie licząca się z tymi warunkami, zamieni się w martwy i schematyczny opis pewnych czysto zewnętrznych zjawisk, bez ich właściwego uzasadnienia. W chwili natomiast, kiedy estetyk zechce je wyjaśnić przy pomocy rozporządzalnego aparatu, wypłynie na mętne fale filozoficznej spekulacji i w nich ostatecznie utonie. Stanowisko socjologiczne natomiast, badające zjawiska artystyczne sub specie funkcji rozwojowej, potrafi każdemu sądowi wartościującemu estetycznie wyznaczyć uzasadniający go argument, będący czymś więcej, niż filisterskie podobanie się „rzeczy samej w sobie" właśnie wskutek jej oderwania od realnej rzeczywistości: jego konkretne miejsce w splocie związków socjalno-kulturalnych.

4

Spójrzmy obecnie na postawę fenomenologiczną, która usiłowała w ostatnich czasach opanować myśl krytyczną nie tylko w Niemczech, ale i w Polsce i która zaciężyła na badaniach naukowych w sposób dość wyraźny.

Edmund Husserl, inicjator tego kierunku, (dla celów filozoficznych pierwszy użył tego terminu Hegel w dziele „Phänomenologie des Geistes"), w ten sposób określa istotę właściwego widzenia filozoficznego: „Widzenie bezpośrednie, nie samo wyłącznie widzenie zmysłowe, które występuje w doświadczeniu, ale widzenie w ogóle, dające zasadniczą (oryginal) świadomość jakiegobądź gatunku, jest ostatnim prawdziwym źródłem wszelkich twierdzeń rozumowych" (E. Husserl, „Ideen zu einer reinen Phänomenologie und phänomenologischen Philosophie", 1913, str. 36).

Husserl zamierzał zbudować samodzielną i niezależną filozofię fenomenologiczną, opierającą się o wnikliwe rozważania intuitywne, prowadzące do gruntownego poznania samej „istotności" rzeczy, filozofię zupełnie niezależną od wszelkiego doświadczenia, ale zdolną do budowania podstaw dla nauk ścisłych. Husserlowskie poznania ejdetyczne, albo też „wgląd w istotność", to wyższe stadium wglądu indywidualnego, dającego doświadczenie. Fenomenolog ulega samozłudzeniu, że potrafi przy pomocy takiego wglądu w sposób pozaempiryczny ustalić zasadniczą istotę moralnego nakazu, prawdy naukowej, zadowolenia estetycznego itp. Swoje wpatrywanie się w istotność stara się przeprowadzić z pominięciem praw dziejowych, historycznych i socjalnych. Fenomenologiczny aprioryzm, fenomenologiczna „redukcja" i tzw. „czyste przeżycie", to w gruncie rzeczy bezpłodny intuicjonizm, który ponosi klęskę właśnie wskutek swego oderwania się od empirycznej rzeczywistości i ziekceważenia praw nią rządzących. Dlatego też kierunek ten był ostro zwalczany za swą jałowość i beznadziejność usiłowań przez myślicieli niemieckich (por. W. Wundt, „Kleinere Schriften", t. I, str. 613; Th. Ziehen, „Handbuch der Logik", 1920, str. 184 i 457; W. Jerusalem, „Wstęp do filozofii", wyd. 3, str. 107). Na polskim gruncie godne jest uwagi oryginalnie przemyślane dzieło R. Ingardena „O poznawaniu dzieła literackiego", przezwyciężające szczęśliwie fenomenologiczne skrajności, choć niezupełnie wolne od pierwiastka pozaempirycznej spekulacji. (Książkę tę, jak i drugie dzieło Ingardena „Das literarische Kunstwerk", L. Chwistek uważał za wysiłki chybione).

Fenomenologizm został w swych ogólnych zasadach w gruncie rzeczy przezwyciężony, choć w dalszym ciągu istnieją badacze (szczególnie na terenie roztrząsań estetyczno-literackich), którzy ulegają chętnie ponętnej i niebezpiecznej sugestii intuitywnego wnikania w istotę i w „istotność" zjawisk literackich. Niebezpieczeństwo opierania się na tym kierunku myślowym polega przede wszystkim na tym, iż fenomenologizm sugeruje swym adeptom możliwość dokonania wglądu w zagadnienia bez wypracowania specjalnych narzędzi poznawczych — one właśnie mają być dane dopiero w ostatecznym wyniku poznawania danego zjawiska. Dlatego też wytwarza się przekonanie o irracjonalizmie zagadnień estetyczno-literackich, etycznych itd., co wiedzie w prostej drodze nie do nauki i „wiedzy faktów" (jak to zapowiadają fenomenolodzy), ale do mitologii i nienaukowego mistycyzmu. Jest rzeczą jasną, że tego rodzaju momentalny wgląd w istotę rzeczy czy zjawiska nie jest możliwy, ale skoro zostanie już dokonany, to dopiero po długim i żmudnym analizowaniu faktów i doświadczalnym ich zestawianiu. Ustalanie ocen estetycznych nie zawsze może się dokonać na drodze „introspektywnego sięgnięcia w głąb" dzieła. Zazwyczaj poprzedzić je musi inne badanie, od strony stosunków zewnętrznych, konfrontacja z życiem, wyśledzenie zagadnienia dlaczego właśnie tak i dlaczego właśnie teraz. Wiele instruktywnego materiału w tym względzie dostarczyć może wybiegająca daleko w przyszłość estetyka Czernyszewskiego.

Dialektyka marksistowska wyróżnia się tym od innych, uprzednio scharakteryzowanych kierunków, iż bada wszelkie zjawiska po pierwsze nie w izolacji i oderwaniu jednych od drugich, ale w pełnym związku i ciągłości, po drugie zaś nie w jakimś sztucznie wykonypowanym stadium statycznym, ale w ciągłym ruchu, zmianie i ścieraniu się faz przeciwnych. Jest to szczególnie ważne we wszelkich rozważaniach estetycznych. Skoro bowiem weźmiemy pod uwagę jakiekolwiek

zjawisko w oderwaniu od jego podłoża, tła i jego warunków istnienia, jeżeli dalej unieruchomimy je sztucznie jak motyla na szpilce, by go włożyć następnie pod szkło mikroskopu, sami siebie skażemy na niepowodzenie. Tego rodzaju bowiem ujmowanie zagadnienia jest właściwie zniekształceniem badanego zjawiska — a w takim razie i wnioski na tym materiale oparte będą musiały być zniekształcone i z gruntu fałszywe.

To zagadnienie dotyczy jednej tylko strony metody poznawczej: niejako sposobu ujęcia danego materiału. Ale jest i sprawa dalsza. Materiał ten nie może zostać zanurzony w mętne tonie intuicjonizmu, ejdetycznego poznawania, psychologizującego prześwietlania i tym podobnych skomplikowanych, a mało skutecznych zabiegów. Musi on zostać ściśle związany z tłem historyczno-socjologicznym i wtedy dopiero zbadany porównawczo i empirycznie, zawsze przy zdecydowanym liczeniu się z rzeczywistymi prawami rozwoju. Dzieła sztuki bowiem nie są jakimiś nadprzyrodzonymi darami niebios, zsyłanymi nie wiedzieć przez kogo i nie wiedzieć kiedy dla uszczęśliwienia zmęczonych życiem ludzi „pięknem samym w sobie". Są one wytworami umysłu ludzkiego zależnego od rzeczywistości zewnętrznej, a skoro człowiek, jako cząstka społeczności, ulega pewnym prawom społecznym, tak też i jego wytwory muszą być z tymi prawami ściśle związane. Widzieliśmy, że naukowa dialektyka marksistowska potrafi najlepiej wyświetlić i określić prawa rządzące rozwojem społeczeństw. Dlatego też i we wszelkich badaniach zjawisk kultury i sztuki powinniśmy być uzbrojeni w niezawodny aparat dialektyki marksistowskiej.

Jan Tański

TADEUSZ BREZA

Teatralne poprawki

W Warszawie przed wojną, o tym mniej więcej czasie krytycy poważniejszych pism odbywali nad teatrem wielkie roki. Z lotu ptaka osądzając sezon, który się zamykał. Stawiali stopnie za najlepsze role, najbardziej udane spektakle, najsensowniejszą linię repertuarową. No, i również wytykali to, co było najgorsze. Podobna czynność należała do obrządku, tak jak na dorocznych posiedzeniach różnych towarzystw wotowanie absolutorium. Wniesione poprawki dyrekcje przyjmowały do wiadomości, albo i nie, i życie toczyło się dalej po swojej równi.

Jak się potoczyło nasze nowe i odrodzone? Teatr polski po pięciu z czubem latach letargu wstał. Specjaliści zajmą się szczegółami pierwszych miesięcy nowej ery. Uczynią to z łagodnością, która obowiązuje w stosunku do rekonwalescenta. Po długiej niemocy najważniejsze jest, że chory wstał i w ogóle chodzi. Któż wtedy uważa, gdzie skierował swoje pierwsze kroki, ot w prawo i lewo, naprzód i w tył. Takimi drogami chadzał przez ten kilkomiesięczny kawałek sezonu, który nam został po odejściu Niemców. Teraz jednak po kilku ostatnich wybornych przedstawieniach w Łodzi i Krakowie uznać trzeba, że teatr już jest silny i przed dalszym biegiem jego życia rozstrzygnąć, dokąd ono ma zdążać.

Z czym, jak i do kogo? Co grać, w jaki sposób i komu? Po teatrach siedzą kierownicy literaccy i zastanawiają się nad repertuarem, przy departamencie teatralnym Ministerstwa Kultury i Sztuki specjalna rada repertuarowa czyni to samo, tyle, że na wyższym stopniu służbowym. Centrum ma w Warszawie, odnóżki jej będą się rozchodzić po większych ośrodkach teatralnych. Początkowo żywiła plany dosyć ambitne. Rada chciała badać pod kątem współbrzmienia z chwilą obecną, jej potrzebami i zaciekawieniami również repertuar klasyczny i doradzać, co dzisiaj najlepiej będzie zagrać z Szekspira, Fredry czy Zapolskiej. Ostatecznie zajęła się wyłącznie twórczością najnowszą. Nie tylko przez samą ciekawość, ale z instynktu bezpieczeństwa. Trzeba pamiętać, że wszystkie teatry w Polsce działają w oparciu finansowym o wspomniany departament, a więc po trosze na jego odpowiedzialność. Na tej odpowiedzialności nie zaciąży nawet najbardziej paradoksalnie wybrany Fredro, a przynajmniej nigdy w tej mierze, co lekkomyślnie wzięty materiał na polską prapremierę.

Do tych prapremier opinia literacka i społeczna odnosi się z najwyższymi wymaganiami, publiczność z największą ostrożnością. Prasa żąda od polskiego autora całego maximum, widz wyraźnie garnie się do sztuk wypróbowanych, departament wyczuwa że przez nowy polski repertuar może mieć największe nieprzyjemności. Toteż zalecił radzie skupić się głównie nad nim. Rada przejrzała około 50 nowych sztuk, w zasadzie wchodzących w rachubę, nie znalazła ani jednej, którą by mogła z całym naciskiem zalecić, ale też ani jednej, której by wyraźnie wzbroniła. (Poza komedią M. Samozwaniec pt. „Wanda nie chce Niemca", która to sztuka wedle lektora wspomnianej rady, acz sama w sobie niewinna, musi dziś nieuchronnie zadrażniać naszą pookupacyjną wrażliwość, toteż nie nadaje się do grania przed szerszym audytorium. Niestety, zanim doszło do tego ustalenia, „Wandę" wystawił uformowany w Krakowie teatr objazdowy, musiano ją zdjąć z afisza). Odpowiedzialność więc za zagranie nowej polskiej sztuki została na skutek podobnej oceny ponownie przeniesiona na poszczególne dyrekcje. Ale z pewnością ten brak entuzjazmu, z jakim się odniósł do zgromadzonego materiału departament, oddziała i na teatry. Staną się one jeszcze powściągliwsze. Chociaż to prawie niemożliwe. Proszę zważyć, że dwa najbardziej teatralne miasta nasze, które, łącznie wzięte, przerastają dawną Warszawę, wystawiły w obecnym sezonie: Kraków — dwie polskie prapremiery (Zawieyski, Morstin), Łódź — żadnej. W roku największych niepowodzeń, jakie kiedykolwiekbądź spotkały przed wojną w Warszawie polski nowy repertuar, wystawiono 9 pozycji. Zatem ostrożność, z jaką teraz się odnosimy do świeżej polskiej twórczości scenicznej, jest dotąd w historii naszego teatru niespotykana. Na pytanie więc co grać, trzeba przede wszystkim odpowiedzieć — więcej polskich nowości. Zagadnienie to posiada u nas specjalną wagę, ponieważ jest to element w naszym życiu teatralnym naprawdę chory. Oczywistą przyczyną jest blednica samej tej twórczości, brak tęgich dzieł. Tego nie podobna ukrywać. Ale to nie może być przyczyną wystarczającą, by nic nowego nie grać. W stu innych sytuacjach życiowych podobny dylemat rozstrzygamy w ten sposób, że nie mając tego, co doskonałe bierzemy do użytku to, co stosunkowo najlepsze. I tu postępowanie powinno być takie. Graniem rozwijać niedowład. Nową twórczość śledzić z zainteresowaniem. Uczynić ją sobie sprawą ambicji. I w departamencie, i w poszczególnych dyrekcjach, i w prasie, i dla każdego z widzów. Wokół wszelkiej polskiej nowości stworzyć atmosferę wydarzenia. Nie ma innego sposobu na to, by ją ośmielić.

Co poza tym grać? Bo oczywiście polskie prapremiery mogą być tylko pewnym składnikiem repertuaru, a dlatego tyle o nim gadania, że tak mocno kuleje. Większość wieczorów zagarną dla siebie wznowienia, no i nowości obce. Na razie dotarło do nas trochę rosyjskich, czekamy na francuskie, angielskie, czeskie. Czeka na nie świat literacki, ale przede wszystkim publiczność. Na jej ciekawość składa się tyloletnie odseparowanie od świata obcych kultur, do których nawykła, a po drugie ciekawość do zdarzeń, przeżyć i przemyśleń wojennych, na pewno w nowej twórczości jakoś odtwarzanych. Wyścig ku tym nowościom, skoro przybędą, da rezultaty chaotyczne. Ale na ciekawość nie ma lekarstwa. Trzeba się będzie pogodzić w tej mierze z pewnym bezładem. Z tym większym jednak opanowaniem winniśmy kierować wznowieniami. Niewątpliwie nadać im należy charakter jak najbardziej klasyczny. Prezentować każdego z dawnych i już granych autorów w ich najlepszych, najtypowszych sztukach. Jedną z elegancji repertuarowych przed wojną było zagrać nieznaną sztukę doskonale znanego autora. Tak postąpił ze „Skizem", absolutnie zarzuconym (nie ma go w popularnym wydaniu zbiorowym sztuk Zapolskiej) dyr. W. Horzyca i zyskał ogromne powodzenie. W najbliższych latach nawet na tak udane sięgnięcia w niepamięć nie powinno być miejsca. Po prostu dlatego, żeśmy przez pięć lat nocy pozapominali dzieła najbardziej pamiętne. Że przez ten czas podrósł mnogi, nowy widz, a przez zmianę naszego ustroju przybył jeszcze inny i jeszcze liczniejszy, dla którego takim samym odkryciem będzie ze sztuk, przypuśćmy, szekspirowskich „Król Lir" co niegrywany „Tymon Ateńczyk". Skoro więc wojna dla jednych, a dla drugich nieznajomość zrównała rzadkie z powszednim, nie wznawiajmy rarytasów, ale rzeczy murowane.

Dla kogo? Pierwsze kroki po staremu skierował teatr w stronę swojej zwykłej publiczności. Inteligenckiej. Nie należy mu się dziwić. Rekonwalescent nie nadaje się na wynalazcę nowych „pas". Ale teraz, kiedy widzimy, że zdrowo stąpa, trzeba mu tę drogę, ku której toczy się przez ociężałość i rutynę, zastawić szlabanem. Z wielu względów. A przede wszystkim ze względu na finansową przyzwoitość. Wszystkie teatry korzystają z subwencji pobieranych z kas państwowych, na które składają się proporcjonalnie i demokratycznie podatkiem wszyscy razem. Czy z tych podatków można brać na przyjemności, z których korzystać potrafi tylko jedna klasa? Przyjemność? To nazwa skrótowa. W marzeniach każdy z nas widzi „teatr ogromny", nabożną szkołę życia, miejsce kościelne, które opuszczać będziemy pogłębieni, mędrsi i weselsi. W tym teatrze, który ma być najświatlejszym nabożeństwem, w starym tego słowa i szlachetnym sensie, kiedy to się czerpało z niego radość, siłę i lepsze zrozumienie świata — rzeczywisty dostęp do widowni muszą mieć wszyscy. Dobre to na ideał. Na jakiej drodze go zrealizować? Najpierw zaprzysiąc każdy teatr na to nowe przykazanie. Niech się czuje głupio w ten czas, kiedy go omijać będzie robotnik i chłop. Następnie przepracować na nowo stare pojęcie tzw. „organizowania widowni". W biurach każdego teatru siedzi zawsze ktoś taki, kto dzwoni (skoro się sztuka trochę opatrzy widzom przychodzącym samorzutnie) po szkołach i biurach z namową i ulgami. Terenem pracy takiego werbunku muszą się stać związki zawodowe i rady zakładowe. Nie mówiąc już o wojsku.

Następny etap to kontakty z wsią, przez spółdzielnie. Przez najróżniejsze organizacje, przez Samopomoc Chłopską. Ostatecznie z kompanią można chodzić nie tylko na miejsca kultu religijnego. Ale również na „Fantazego"! Lecz co uczynić z ceną? Nowy klient, o którym mówię, nie zajmie parteru. Za drogi jest. Poza tym, że dla przedstawiciela wsi, niekiedy pieniężniejszego dziś od niejednego inteligenta, to wydatek nie w jego obyczaju. Z góry natomiast, z „jaskółki" patrząc, człowiek nie otrzaskany z teatralną konwencją i konwenansem z trudem coś uchwyci i zrozumie. Są to sprawy badane wykresami. Malejącą orientacją w miarę oddalania widza od sceny. Nowego widza teatr przygarnie, dając mu maximum ułatwień. Zatem przedstawienia specjalne na całą salę? Samo ich pojęcie nie powinno nowego widza obrażać. Jest stare, tradycyjne. Pewne grupy inteligenckie, szkoły, wycieczki, za granicą kluby chadzały do teatru swoimi gromadami. Czemu dziś nie ma chłop czy robotnik dokonać taką samą gromadą wycieczki rozpoznawczej na teren niewątpliwy swego przyszłego zadomowienia. Na razie teren wymaga oswojenia z nim. Jest dla nowego widza rażący. Światło męczy w przerwach, całe to ludzkie mrowienie się w antraktach, obecność innych wokół, swobodnych i obznajomionych. Podobne zjawiska nie występują w kinie. I to jest jedną z przyczyn, poza ceną, no i oczywiście, bo to najważniejsze, poza o wiele większą bezopornością filmu przy procesie jego chłonięcia. W zasadzie przełamanie demarkacji między nową masą widzów a teatrem nie jest trudne. Oświatowcy z terenu robotniczego jak i chłopskiego wyliczają liczne wypadki imprez, w których doszło do pełnego kontaktu między tym nowo zwerbowanym widzem a sceną. Podkreślają oni jednak pewną potrzebę zadomowienia się, oswojenia się z widownią, z samą instytucją. Niepodobna odbierać wrażeń estetycznych czy intelektualnych w atmosferze obcości, nieswobody. Przemiany ustrojowe, które przechodzimy, oddając w ręce człowieka z innych klas społecznych ziemię i udział we władaniu zakładami pracy, z pewnością obudzą w nim uczucie poufalsze do miejsc dotychczas tak go krępujących jak teatr, muzeum czy sala koncertowa.

W związku z przyciągnięciem nowego widza do teatru pozostaje sprawa repertuaru. Na temat tego, co jest najprzystępniejsze dla mas, toczył się niejeden spór. „Instytut teatrów ludowych", instytucja bardzo rzetelna, która, jak tyle innych placówek, zagasła w 1939 r., opowiadała się na podstawie wieloletnich doświadczeń za teatrem poezji. Ruchu, barw, muzyki, polotnego słowa i spraw toczących się choćby o centymetr nad ziemią. Doświadczenia warszawskich teatrów dzielnicowych (peryferyjnych) zdawały się świadczyć o czymś odmiennym. Że właśnie nowego widza chwycić można na konkretność, na doskonale podrobione życie, na teatr z minimalną ilością konwencji. Oczywiście inny to widz, ten w obu wypadkach nazwany nowym. Teatr winien mu nagotować obie potrawy, ku jakim się skłania, i już się nie zastanawiać. A przyjdzie ten nowy człowiek i wybierze. Ostatecznie to jego rzecz.

Jak grać? Jak wystawiać? Świeżo przetoczyła się łamami pism literackich zapalczywa dyskusja o tym, jak pisać. Wyruszając z najbardziej odległych punktów, szermierze zwolna zgromadzili się u jednego stanowiska. Że lata międzywojenne to był okres strojeń, prób, wynalazków, poszukiwań często nawet alchemicznych. Okres, który się otwiera, stanie się okresem produkcji. Teraz w mniejszym stopniu będzie o to szło, aby znaleźć koniecznie jakiś nowy sposób złożenia się piórem, a bardziej o to, żeby po prostu pisać. Środkami, do których już czytelnik się przyzwyczaił, ukazywać świat nowy. Podobnie winna brzmieć odpowiedź na zapytanie, jak przedstawiać. Sposobem wypróbowanym! Z zastosowaniem tych wszystkich zdobyczy, które teatr polski poczynił w okresie przed wojną. Te zdobycze należy utrwalić na zasadzie upowszechnienia ich. Doskonałość w teatrze na najbliższe lata polegać będzie na najlepszym przepracowaniu tymi zdobyczami wielkiej ilości materiału, a nie na wynalazczości. Trzeba ciągle o tym pamiętać, że w najbliższym okresie novum w teatrze, to nowy widz. Wedle niego stawiać groble.

Zwłaszcza, że utrzymać widowiska na warszawskim poziomie sprzed wojny, to trudność o wiele znaczniejsza, niżeli się powszechnie przypuszcza. Nie ma dla teatru Warszawy! W tym sensie, że nie ma już milionowego miasta, z którego teatr czerpał widzów. A więc nad każdym teatrem zawisła obecnie groźba prowincjonalności. Bo co jest właściwie przyczyną prowincjonalności? Mały zapas widzów. Trzeba im wciąż dawać nowe sztuki. A przygotowanie dobrego spektaklu wymaga czasu. Czasu, czasu i jeszcze raz czasu. Bez niego nie ma w teatrze cudów. W prowincjonalnych teatrach depce próbom po piętach konieczność wejścia następnej sztuki na afisz. W Warszawie przeciętną teatralną obliczało się na 50 przedstawień. Jeśli zdarza się dzisiaj Krakowowi sięgnąć takiej cyfry, to pamiętajmy, że przechodzimy obecnie teatralną koniunkturę. Powodem jej jest wyposzczenie i brak konkurencji. Kino jeszcze nie ruszyło całą parą, ani dancingi, ani zabawy, ani życie towarzyskie. To samo da się powiedzieć o górach, zagranicach, urlopach i wybrzeżach. Źle będzie, kiedy te pokusy wyciągną po człowieka ręce. Naprawdę jedyny dla teatrów ratunek leży w nowym widzu. Ale zacząć łowić go trzeba od razu. On to w Związku Radzieckim przyczynia teatrom tę olbrzymią przeciętną przedstawień, które pozwalają im z jedyną dziś w całym świecie starannością przygotowywać się do następnego spektaklu.

Milionowe miasto! Jakże tęsknimy za nim. Teatr musi je mieć. I ma sposób, żeby się o nie postarać. Po prostu dwa miasta mniejsze zszywa w jedno, pracując przedstawieniami zamiennymi. To jest chwyt, który by należało wprowadzić natychmiast w życie. Zamieniać się spektaklami. Po wygraniu „Rosjan" w Krakowie, dawać go Łodzi za „Fantazego", czy też za „Dzień jego powrotu" brać „Dożywocie". Spektakl zyskuje na tym podwójną ilość przedstawień. Każde z miast podwójną ilość spektakli. To również ważne. Pełnowartościowy widz teatralny winien często oglądać teatr. Wciąż odnawiać i odmieniać wrażenia. Tak jak katolik, nie tylko w wielkie święta, ale stale, co tydzień chodzić do swego kościoła.

Wszystkie teatry obecnie są zależne od państwa. Każdy bierze od niego jakiś grosz. Pozostają one w działaniu wolne. Myśl o złączeniu ich w jeden instrument rozchwiała się. Ale pewne zawilsze sprawy organizacyjne, tak jak ta, o której tu mowa, dadzą się rozwiązać tylko przy ingerencji czynnika nadrzędnego. Z technicznych względów w zamiennych przedstawieniach uczestniczyć mogą tylko teatry o wielkich zespołach. Bo kiedy część aktorów będzie w gościach, reszta musi przygotowywać przyszłą premierę. W pewnych wypadkach mogą powstawać zawikłania obsadowe, ale znowu, gdyby za pomocą takich przedstawień zamiennych znieść między teatrami nadto sztywne i suwerenne granice, można by właśnie natrafić przy tym na niejedno ułatwienie w gospodarce aktorem. A trudności techniczne? Transport? Dekoracje? To wszystko nie jest łatwe. Ale z pewnością łatwiejsze i mniej kosztowne, niżeli jednoczesne wystawianie w kilku teatrach naraz tej samej „Zemsty". A tak właśnie było w bieżącym roku na wczesną wiosnę. Czy więc nie ten sam trud, a o wiele większy zysk, by każdy z teatrów pracował nad inną sztuką, a potem się spektaklami zamieniał. A co do dekoracji i kostiumów, to nawet dziwne, aby je pdwójnie szyć i strugać w czasach drogiego materiału, i za te same pieniądze, bo z subwencji państwowej.

Przewóz? Oto zagadnienie! Jakże dzisiaj narażać artystów na podróż! Chociaż gdyby to szło o gościnne występy indywidualne, każdy z nich by się na nią ważył. Więc zastosujmy proste dodawanie i namówmy wszystkich razem. Z numeru marcowego (1945) miesięcznika „International Literature" dowiaduję się ciekawych rzeczy o teatrze Sowieckiej Republiki Kirgiskiej. Od sześciu lat nieprzerwanie latem i zimą (nawet gdy mrozy dochodzą do 40 stopni) działa on głównie w terenie. A teren tam wyjątkowo górzysty. W jednym tygodniu gra tak jakby u nas na Hali Gąsienicowej, a na drugi, przez Zawrat się ładując, rozbija namioty w dolinie Pięciu Stawów. I tak w kółko od kilkudziesięciu miesięcy. Kiedy to czytam i myślę o jedynym zbawieniu polskiego teatru, to jest przedstawieniach zamiennych, pocieszam się, że na drodze pomiędzy Łodzią a Krakowem nigdy nie wyrosną podobne góry trudności.

W najbliższym numerze „ODRODZENIA"
pierwszy artykuł **Ksawerego Pruszyńskiego**
z cyklu
O emigracji polskiej na Zachodzie

ARTUR SANDAUER

Kłopoty tłumacza

Trudności, na jakie napotyka tłumacz poezji, każą mu nieraz zazdrościć poecie oryginalnemu: ten bowiem, skrępowany tylko treścią, którą chce wyrazić, w wyborze środków wyrazu ma całkowitą swobodę; tłumacz natomiast, który pragnie oblec oryginał w nową szatę językową, ma nie tylko treść ale i formę narzuconą; szuka on nie jakichkolwiek sposobów wyrazu, ale tych właśnie, których użył autor. Trudności, o jakich mowa, dałyby się streścić w takim mniej więcej ogłoszeniu:

„Poszukiwane jest słowo polskie, czterozgłoskowe, zakończone na „iłość", rozpoczynające się ze względu na aliterację na literę „p", ogólnym swym brzmieniem przypominające ze względu na kalambur wyraz „słupek", miłe w dźwięku i oznaczające „nogę". Uczciwy znalazca zechce je dostawić za stosownym wynagrodzeniem pod wskazanym poniżej adresem".

A jednak, wbrew tym trudnościom, arcydzieła tłumaczeniowe powstają. Fałszywe jest więc widocznie założenie, jakoby przekład polegał na przyodzianiu oryginału w nową szatę. Błąd ten wynika z niepotrzebnego rozróżnienia treści i formy w poezji. Różnica ta, istniejąca w dziełach naukowych, zanika w literaturze pięknej, a zwłaszcza — poetyckiej. O kodeksie prawnym można powiedzieć, że myśl jest słuszna, a sposób wyrażenia — niewłaściwy; lecz nie o poezji. Tu wszelkie niedołęstwo formalne świadczy zarazem o niedostatkach treści. Utwór poetycki nie rodzi się z myśli, którą autor później obleka w słowa; jedno i drugie powstaje w nim równocześnie; to też jest on samoistną rzeczą, w której to, co autor chciał wyrazić i to, co wyraził, treść i forma są równoznaczne i nierozłączne. Zadaniem przekładu poetyckiego nie jest zatem przyodzianie treści oryginału w szatę innego języka, lecz stworzenie nowego, jak najbardziej podobnego do oryginału utworu.

Rozróżnienie teoretyczne o ogromnych konsekwencjach praktycznych. Praca tłumacza poetyckiego polegać będzie zatem nie na przełożeniu słów czy nawet na oddaniu zalet artystycznych utworu, lecz na takim przetworzeniu tematu, aby wywołał podobne, jak oryginał, wrażenie. Przekład taki odpowiada na pytanie, jak autor potraktowałby dany przedmiot, gdyby pisał językiem tłumacza; jest nie tyle kopią, co odpowiednikiem. Tłumacz powinien znać nie tylko poszczególne dzieło autora, ale całą jego twórczość i do tego stopnia nasycić się jego zwrotami, obrazowaniem czy nawet manierą, aby móc z jak największą łatwością operować jego materiałem, kompensując w miarę potrzeby nieprzetłumaczalne miejsce innym, w podobnym duchu stworzonym. Umiejętność obrazowania tłumacza czyli stan potencjalny jego wyobraźni powinny zatem równać się, jeśli nie stanowi potencjalnemu autora, temu, co on mógł napisać, to przynajmniej jego stanowi faktycznemu, temu, co on rzeczywiście napisał. Tak pojęty przekład wynika z jednorazowego przecięcia dróg poetyckich tłumacza i autora, z chwilowego podobieństwa ich indywidualności; jest on rezygnacją z własnej twórczości na rzecz cudzej w uznaniu, że temat, który tłumacz mógłby sam potraktować, został mu już w sposób nieskończenie doskonały — wychwycony.

Tę metodę kompensacyjną sformułował już z idealną ścisłością Delille (którego cytuję za Tuwimem, „Lutnia Puszkina", str. XV): „Najistotniejszą tłumacza powinnością... jest, żeby sprawić w każdym wypadku ten sam skutek, jaki sprawił autor. Przekładający wystawić powinien, jeśli nie te same piękności, to przynajmniej taką liczbę piękności, jaka jest w oryginale. Ktokolwiek przedsiębierze tłumaczyć, zaciąga dług i powinien wypłacić, jeśli nie tą samą monetą, ale tę samą sumę... Jeśli przewiduje, że musi osłabić oryginał w jednym miejscu, niech go wzmocni w drugim; niech mu wróci niżej, co wyżej odjął... Dlatego rzeczą niesprawiedliwą jest porównywać każdy wiersz tłumaczenia z wierszem oryginału. Tylko całość może dać miarę rzetelnej wartości tłumaczenia".

Filologiczna zatem ścisłość poszczególnych miejsc przekładu — jakkolwiek pożądana — nie jest konieczna. W stopniowaniu precyzji tłumaczenia kierować się należy ustanowioną przez autora hierarchią wartości. W pewnym miejscu o piękności wiersza stanowi wybredny rym; gdzie indziej rytm wzruszający; ówdzie rozmach obrazowania. Zmuszeni warunkami przekładu, który jest zawsze systemem kompromisów, rezygnujemy z wartości ubocznych dla głównych, gotowi w innym miejscu powetować sobie tę stratę z nawiązką. Ważna jest ogólna identyczność sensu i stylu, czyli wrażenie całości.

Jak zawodna jest filologiczna metoda przekładu, dowodzą choćby liczne i rzadko udatne próby spolszczenia Szekspira, gdzie tłumacze, napotykając np. na kalambury, już to z nich rezygnują, zaznaczając w przypisku, że „tu następuje niemożliwa do oddania gra słów", chcąc widocznie tym sposobem rozśmieszyć czytelnika na wiarę, już to proponują jakiś za włosy wyciągany dowcip własnego chowu. W myśl metody kompensacyjnej natomiast należało by korzystać z każdej nasuniętej przez język polski sposobności do tworzenia kalamburów, nie dbając zbytnio o to, czy i w tekście angielskim znajdziemy ich odpowiedniki.

Przekłady jednak, podobnie jak i poezja w ogóle, nie są sprawą czystej estetyki. Najprostszy składnik wiersza słowo, ma — prócz sensu logicznego — także wartość uczuciową, zawisłą od każdorazowego układu warunków historycznych, przy czym dla poezji jest bodajże ważniejsza owa dziejowo uwarunkowana atmosfera wyrazu, niż jego sens filologiczny. Tak np. nazwa „Warszawa" brzmi dziś dla nas zgoła inaczej, niż przed dziesięciu laty; może słowo „Troja" dla starożytnych Greków oznaczało coś równie żałobnego, runięcie świata. Podobną analizę historyczną można przeprowadzić na wielu innych wyrazach. Poezja w działaniu swym obliczona jest na takie właśnie kompleksy uczuciowe; tłumacząc wiersz, musimy uwzględnić wrażliwość odmiennego czytelnika, przełożyć nie tylko tekst, ale i owe historycznie uwarunkowane asocjacje, zastępując w miarę możności odległe i martwe — żywymi. Staje więc przed tłumaczem zadanie nie już estetycznej, lecz historycznej kompensacji.

Trudności tłumaczenia, dość już wielkie w utworach współczesnych, podwajają się, gdy dzieło, powstałe w kraju i w epoce odmiennej, znajduje się niejako na ukos od chwili obecnej. Metoda kompensacyjna, którą przeciwstawiliśmy filologicznej, rozszczepia się tutaj, ukazując nam dwojaką możliwość. Przeszczepiając np. do kultury naszej Szekspira, możemy przenieść go równolegle lub na ukos: do szesnastego lub też do dwudziestego wieku. W pierwszym wypadku przełożymy go na język Kochanowskiego, stwarzając sobie w ten sposób fikcyjną przeszłość kulturalną, renesansowego polskiego Szekspira; w drugim natomiast — uwspółcześnimy go. Lecz, aktualizując język, musimy w konsekwencji uczynić to samo ze strojami, z obyczajami, z fabułą nawet: od przekładu przejdziemy zatem do bezkompromisowej przeróbki. Ta najbardziej twórcza metoda, stosowana przez całe średniowiecze, które przedstawiało np. Priama w otoczeniu biskupów w jakiejś czternastowiecznej Troi, przez Szekspira, który Plautowych „Menechmów" przetworzył na nowy dramat, tudzież przez wielu innych, ma jednak tę zasadniczą wadę, że przekład zastępuje naśladownictwem. Ale i tam, gdzie poprzestaje na ścisłym tłumaczeniu, nada mu pewną cechę, upodobniającą je do przeróbki: uwydatni nie patos historycznej perspektywy, nie obcość i dziwność dzieła, wynikającą z odmienności epok, lecz to, co nas z nim łączy, jego wartość estetyczną. Tak np. Lucjan Siemieński w przekładzie „Odyssei" lub Adam Stanisław Krasiński w „Słowie o pułku Igora" traktują oryginały jako absolutny ideał artystyczny, nie zaś jako wyraz epoki. Pokutuje tu złudzenie ponadczasowego piękna, które jest w gruncie konkretną estetyką okresu i warstwy, do jakich należy autor. Odwrotnie natomiast Tuwima archaizujący przekład „Słowa o pułku Igora" lub Wittlina „Odyssei" podkreślają przede wszystkim odległość i charakter dzieła, nie zaś jego bezczasowe piękno, którego odczucie zmienia się w istocie z każdą epoką.

Rozstrzygając jednak ów spór na rzecz archaizacji, musimy jeszcze określić jej stopień. Homera np., który tworzył około 700 r. przed Chrystusem, nie sposób przełożyć na odpowiednio starą polszczyznę. Użyjemy zatem, tłumacząc go, najdawniejszego, jaki jest nam znany, języka polskiego. Tu jednak zachodzi obawa, że żaden tłumacz nie opanuje tej mowy tak doskonale, by móc swobodnie posługiwać się nią w poezji i że wskutek tego stworzy wieżę Babel rozmaitych epok, równie oburzającą dla filologa, jak niedostępną dla publiczności. Przekład archaizujący, jeśli ma być zrozumiały nie dla średniowiecznego — któremu te sprawy są już dawno obojętne — lecz dla dzisiejszego czytelnika, musi być świadomie niekonsekwentny. Ma on tylko narzucić dziełu pokost sztucznej patyny, nie tak gruby jednak, aby uczynić je niezdatnym do użytku. W kompromisowym z natury swej przekładzie chodzi tylko o wywołanie wrażenia autentyczności stylowej, nie zaś o jej istotę.

KAZIMIERZ WYKA

Potęga ciemnoty potwierdzona

Kiedy przed trzema miesiącami czytałem artykuł Mieczysława Jastruna o „Potędze ciemnoty" („Odrodzenie", nr 29), wyznaję dzisiaj szczerze, że jako przynależny do tych Polaków, którzy w najcięższych chwilach Żydów szli im z wszelką dostępną pomocą, twierdzeniami Jastruna czułem się skrzywdzony. A już szczególnie ciasny wydawał mi się sąd, jakoby przyczyn niewygasłego dotąd antysemityzmu szukać w jakiejś fanatycznej i zaślepionej ciemnocie.

Potęga ciemnoty potwierdzona. Trudno inaczej nazwać objawy, które nadal trwają w części polskiego społeczeństwa. Zwłaszcza, kiedy ma się w świeżej pamięci ponure i rozbestwione widowisko, którego areną był Kazimierz krakowski, dawno temu (tak jest, dawno temu — czytaj przed sześciu laty) dzielnica Żydów krakowskich.

Przebieg zajść jest wiadomy. Szczegóły sprawy, liczbę poranionych i zwłok podała prasa. Ze stanowiska, które nas obchodzi, są to naprawdę szczegóły. Ważny jest mechanizm podobnie zbrodniczej histerii w dwóch jego dźwigniach: po pierwsze — sprawa zetknięcia się świadomej prowokacji politycznej z podrażnioną histerią tłumów, celnie utrafionych w ich kompleksy. Po drugie — zetknięcie jeszcze istotniejsze i jeszcze bardziej wstydliwe, to, po którego płaszczyźnie tępa ciemnota tłumu przechodzi w osad ciemnoty u ludzi, którzy z pozoru powinni być na jej powstawanie uodpornieni. I którzy dlatego, że nie są uodpornieni, niemniej są winni od rozpętanego tłumu.

Trudno o środowisko bardziej **peryferyjne socjologicznie** nad tłum, który sprzedając i kupując, kradnąc i węsząc każdy interes możliwy i niemożliwy, zalewa każdego dnia Miodową, Szeroką, place Bawół czy Rybny. Tandeta krakowska. Ten tłum jest peryferyjny w każdym względzie. Składają się nań ludzie, którzy ze wstydem, ze skrywaną niecierpliwością („przycisnęło" — jeszcze tę kołdrę trzeba sprzedać) wystawiają jakieś tam firanki, obłóczki, podniszczone płaszczyki, obuwie. Tych poznasz od razu po geście, w którym więcej prośby do przechodnia, by kupić raczył, aniżeli pewności pośrednika: nie kupisz ty, kupi inny. To wystawanie jest przykrą i haniebną peryferią życia, które chcieliby nareszcie unormować, a nie mogą. Jest peryferią dzisiejszych zarobków, dzisiejszych cen i przydziałów.

Ale w tych samych ulicach mieszczą się peryferie bez porównania szersze i naprawdę godne tej nazwy. Ludzie za okupacji rzuceni w przypadkowy handel i usiłujący utrzymać się w nim dzisiaj na stałe. Cóż, że Zosie i Jasie: tłum lewantyński w swoim obyczaju handlowym i psychologicznym. Płochliwy, ciągle jakby na czatach. Pięć lat handlował i nasłuchiwał, czy nie nadchodzi łapanka. I teraz nareszcie, od wyzwolenia Krakowa, nie łapią, nie zabierają towaru, nie przepędzają. Obecnej zimy i wiosny ci ludzie zostali upojeni niesamowitymi perspektywami handlu szabrowniczego. Nastały dla nich złote czasy — przez Kraków przelewa się fala śląskiego szabru, tandeta krakowska jest centralą tego handlu peryferyjnego na skalę, której nie widziałem w żadnym polskim mieście. W Gdańsku, w Gliwicach bywają tańsze okazje, ale są innego pochodzenia: tam wysiedlani czy pozbawieni pracy Niemcy wyzbywają się za bezcen, jest to handel z pierwszej ręki. Tutaj w Krakowie przeważa stopień wyższy, tutaj są już pośrednicy, fachowcy od łatwej ceny.

Nastały złote czasy, ale już się kończą. Barometrem jest dla mnie basen przeciwlotniczy naprzeciwko kościoła Mariackiego. Na wiosnę był on centralą handlu dywanami. Jakież piękne okazy widywało się na nim w kwietniu, w maju. Dzisiaj opustoszał. Fala zrabowanego towaru wysycha, wnet wyschnie ostatecznie. Ceny spadają. Ten „przyciśnięty" z kołdrą albo jej nie sprzeda wcale, albo sprzeda za mniej, niż przypuszczał. Sprawa ta nie wiąże się jednak z jego lokatą społeczną. Wie, że był w przykrej konieczności. Zato ten drugi nie pogodzi się tak łatwo. Staje się rozdrażniony i niecierpliwy. Nie łapią, nie wywożą, a przecież handel idzie coraz gorzej. Idzie gorzej, niż szedł za Niemców (zróbcie sami wywiad, przekonacie się), idzie gorzej, niż na wiosnę. Coś w tym musi być, jakaś ciemna machinacja. Ten peryferyjny pośrednik czuje się dzisiaj zagrożony i to w chwilę po tym, kiedy mu zaświeciło eldorado: zarabiać, jak za okupacji, bez tego ryzyka, co za okupacji. Na Kazimierzu pojawiają się niedobitki Żydów. Ten i ów zajął swoją — pożal się Boże — „kamienicę" na Meiselsa czy Józefa. W synagodze modły. „Żydów powróciło za dużo", taka jest statystyka tłumu na straganach. A ponieważ wiemy doskonale (u straganów), że Żydzi są właśnie specjalistami od ciemnych machinacji, że Żydzi np. wynaleźli obowiązek spłacania weksli podpisanych za wzięty towar i niejednego Polaka puścili w ten sposób z torbami, zatem — —

Zatem cały materiał ciemnoty, rozdrażnionej niepewności o swój los, wszystkie powody, którymi podobne rozdrażnienie wyrażało się przed wojną, w tej specyficznej tkance tandety leżą obok siebie w sposób dosłowny: lokalnie obok siebie. Ta straganiarka z niechęcią patrzy, że Żydówki ośmielają się chodzić w ciąży. „Ledwo toto z obozu wyszło, a już sobie pozwala, jak normalne ludzie. Rozmnożą się i wyrzucą nas ze straganów". To jest pierwsze zetknięcie, jakiego szukaliśmy, ta płaszczyzna, na którą pada prowokacja polityczna. Handlujący tłum czuje się zagrożony w swojej łatwej egzystencji, praca mu dawno obrzydła i widzi, że po pierwszym olśnieniu coś się stale i systematycznie psuje. Może tam nawet i przeczuwa, że któregoś dnia trzeba będzie pójść do normalnej pracy, ale na taką perspektywę absolutnie nie chce przyzwolić. To **ktoś** mu psuje, **ktoś** umyślnie mąci, aby zająć miejsce.

Prowokator powiada: rzuć kamieniem w szyby bożnicy i krzycz, że cię mordują. Koło się zamyka: **tłum otrzymał odpowiedź, jakiej pragnie**. Otrzymał przyczyny, dla których wolno mu uderzyć w urojonego wroga, przyczyny również obliczone na pojemność umysłową peryferyjnej masy, na jej tradycje uczuciowe wobec Żydów: mordują dzieci. Wiadomo, że na mace. W roku 1407 z ambony ogłosił ludowi magister Budek, „że Żydzi zamordowali dziecię chrześcijańskie, nad krwią jego srodze się pastwili". Nie darmo jednak żyjemy w epoce naukowej: chodzi o transfuzje krwi dla wracających z obozu Żydów. W roku 1618 profesor Akademii Krakowskiej Sebastian Miczyński pisał o jednym z fundatorów bóżnic krakowskich, że „rozsyła krew chrześcijańską w podłużnym słoju, który chowa między innymi słojami, napełnionymi żywnością". Nic więc nowego pod słońcem. Nawet ten „naukowy" argument, podsuwany tłumowi, należy do zasobu najbardziej nieprzewietrzanej ciemnoty. Wystarczy zaś pamiętać terminologię socjologiczną Vilfredo Pareto, by wiedzieć, że te dwie derywacje, te dwa uzasadnienia są sobie równe poprzez wieki, albowiem ich residuum, ich trzon jest równy — ten przeciwnik musi czynić źle, zatem **każdy powód, w imię którego czyni źle, jest poręczny.** Każdy powód jest dobry, byle był przeciwko niemu.

Wniosek z tej płaszczyzny zetknięcia jest dosyć prosty: tylko podżegacz zasługuje na bezwzględność. Jakakolwiek zaś przymusowa likwidacja opisanego środowiska byłaby niewczesną niecierpliwością. Ono i tak zaczyna zamierać, chociaż jeszcze jest ruchliwe. Należy mu pozwolić, by zgasło śmiercią naturalną. Nie należy hołocie, a już szczególnie biedocie, z przymusu wpędzonej w otoczenie hołoty przydawać honoru prześladowań.

Istotniejsza jest druga sprawa: cichego wspólnictwa tych, którzy nie rabowali wprawdzie przewróconych straganów i nie miotali kamieniami („mnóstwo bogactw i kosztowności, jakie znaleziono w domach Żydów, złupiono, wielu chrześcijan stąd się wzbogaciło i naraz wzrosło w dostatki" — pisze Długosz), ale nie całkiem są pewni, czy tłum jakiejś swojej racji nie posiadał. Inteligent polski nie może i nie powinien przechodzić tych szczebli niechęci ekonomicznej, jakie w specjalnej sytuacji jeszcze mogą działać u straganiarskiego tłumu. Inteligent polski dawno temu (tak jest, dawno temu — czytaj przed laty sześciu) czuł się zagrożony w swojej pozycji socjalnej przez Żydów. Tym silniej się czuł, im bardziej mu wmawiano. Dzisiaj inteligent ten powinien bez trudu odróżniać, pokąd sięgają urażone kompleksy tłumu, a gdzie się zaczyna celowa gra polityczna na nich. Odróżnia nadspodziewanie rzadko, nadspodziewanie często jeszcze dzisiaj oddaje się władzy schematów antysemickich.

Czemu to antysemityzm warstw inteligenckich, choć nie posiada obecnie żadnych realnych podstaw, jednak w wielu wypadkach z ciemnotą się kontaktuje? Sama ciemnota tego nie wyjaśni. Jądro sprawy leży gdzie indziej: w tym, że w Polsce nie było Quislinga. Proszę nie sądzić, że silę się na paradoksy. Co innego jest w obecnej sytuacji smutnym paradoksem: to, że jedynym krajem w Europie, gdzie antysemityzm nadal trwa i prowadzi do politycznych i moralnych zbrodni, jest Polska. Kraj, gdzie Żydzi zostali wytrzebieni najgruntowniej i gdzie za okupacji siła oporu przeciwko Niemcom była najgwałtowniejsza. Tymczasem w tym to kraju hitleryzm pozostawił swoje kukułcze jajo.

Lubimy się chlubić faktem, że byliśmy jedynym krajem w Europie, który nie wydał swojego Quislinga ani Hachy i widzimy w tym dowód swojej mądrości politycznej. Sąd już przez to wątpliwy, że w ogólnym rachunku politycznym bynajmniej nie zachowaliśmy się mądrzej od narodów, które miały swoich Hachów. Ale przez to, że nie wydaliśmy swojego Quislinga, czyli przez to, że elementy bliskie ideologicznie hitleryzmowi, te, które w innych krajach poszły na współpracę z okupantem, u nas pójść na nią nie mogły, bynajmniej nie uprościła się obecna sytuacja społeczna i ideowa w Polsce. Lepiej jest, jeżeli ropa wzbiera i może być wraz z wrzodem przecięta lub wyciśnięta, aniżeli gdy rozchodzi się po kościach, wszędzie potrosze wciskając się w organizm.

Tu się włącza sprawa antysemityzmu inteligenckiego. Ten antysemityzm należał w Europie do normalnego przystroju wszystkich, którzy poszli z faszyzmem. Należał aż do szaleństwa. Klęska Niemiec nie ulegała wątpliwości, kiedy węgierscy hitlerowcy zabrali się do pospiesznego mordowania swoich Żydów, byle zdążyć przed terminem klęski. Otóż antysemityzm polski, gdyby z naszym rodzimym Quislingem skompromitował się jako element

współpracy z okupantem, byłby — nie bądźmy przesadnymi optymistami — jeżeli nie przekreślił sam siebie, to przynajmniej wyjawił swoje właściwe oblicze, nie byłby pozostał w stanie burd, których sens ogólnopolityczny jest rzekomo nikły. Ponieważ Quislinga nie było, pozostał na swojej dawnej pozycji — Polacy największymi tradycjonalistami są w myśleniu — i nadal, pogrobowo, należy do rekwizytów patriotyzmu i tzw. troski obywatelskiej. Stłumiony za okupacji, nadspodziewanie odpręża się do swego zwykłego stanu i odnajduje łączność z ciemnotą dołów. Zaś w ogólnym bilansie nie wiadomo doprawdy, gdzie ciemnota jest większa czy u tłumu, któremu podrzucają argumenty, czy u ludzi, którzy powinni wiedzieć, że argumentów nie ma, że tylko się je podrzuca.

Było to w lipcu 1939 roku. Zaszedłem na stary cmentarz żydowski przy ulicy Szerokiej. Martwy podwójnie, bo już od dawna nie przyjmujący nowych zmarłych cmentarz. Pełen pomników całych dynastii rabinów, lekarzy, talmudystów krakowskich. Już nie pomnę którego to był rabina ów grób pod przekrzywionym drzewem, zawsze zasypany zwiniętymi karteczkami. Na karteczkach pisało się życzenia — forma modlitwy ujętej w rulonik.

Dzisiaj nagrobki wyrwane. Istnieją w Polsce miasta, gdzie w chodnikach depczesz ułomki takich kamieni, fragmenty nieczytelnych. dla ciebie napisów hebrajskich. Pustą przestrzeń cmentarza porasta trawa. Gdzie niegdzie uratował się kamień. Grają na nim w karty, rozkładają towar. Przez wyłomy w murach cmentarzyska wiodą ścieżki. Nie piszę o profanacji. Piszę tylko, że ten cmentarz jest potrójnie martwy. Na grób pod drzewem nikt nie rzuca kartek. Powiadam tylko, że kto nie dostrzega wymowy tych pustych murów, za którymi kłębi się lewantyński tłum polskiego pochodzenia, jest ciemny do potęgi. Ciemny na jedno z największych nieszczęść i zbrodni, jakie znają dzieje.

Kazimierz Wyka

Zakochani w Pomorzu

Zofia Dróżdż i Władysław Milczarek. Zakochani w Pomorzu. (Kraków), „Czytelnik", 1945; str. 37 i 3 nl. Z mapą Pomorza Zachodniego i 37 zdjęciami **Tadeusza Aleksandrowicza.** Okładka **J. Karolaka.**

Propagandowy reportaż dwojga autorów, rozkochanych w ziemi Bolesława Krzywoustego i — sądząc z wybuchu uczuć, które przelewają się na pięknych stronicach ozdobnej broszury — w sobie. Okoliczność ta powinna by być dyskretnie przemilczana, gdyby nie miała wpływu na treść. Sublimują się w niej emocje ludzi pełnych sił, młodzieńczego entuzjazmu, zapału do pracy i wiary w przyszłość. Nabój tych uczuć wymierzają w społeczeństwo, w chlubnym zamiarze poderwania go do nadmorskiego kraju, nęcącego pięknem przyrody i bogactwem dóbr.

„Drzewa przekarmione nadmiarem wilgoci, sypią na głowę niefrasobliwie grad kropel, z wilgotnych ustroni podnosi się mgła, spoza listków wysuwają się ostrożnie zarumienione dziewczęco płatki polnej róży i chłodny, dziewiczy jaśmin, zbryzgany potokami deszczu, opłakuje hańbę, a beztroskie lipy otwierają już na oścież podwoje i bucha od nich muzyka i zaduch zmysłowy pszczelnego wesela". To w Koszalinie, gdzie „poprzez żelazne płoty śmieją się do nas czerwone porzeczki". Takich perełek artystycznej prozy rozsiano w reportażu więcej. Wrażliwym na uroki natury wojażerom „eksploduje słońce jak fontanna żywego srebra". Gdzieś poza Ujściem Słupskim „morze jest gładkie i ciche, wygląda jak bezkresne, spokojne jezioro, woda wyorzeża ma kolor delikatnego seledynu z rąbkiem białej koronki".

Jest cechą naszego młodego pokolenia, że liryczny nastrój nie przeszkadza najbardziej trzeźwemu realizmowi. Garściami rzucają autorzy informacje o liczbie kwadratowych kilometrów i liczbie ludności, glebie, płodach rolnych, hodowli, przemyśle, komunikacji, fizjografii, klimatologii, osadnictwie — prawda. wybrane z nudnego kosza zatęchłej statystyki szczęśliwą ręką. I wciąż mają, w ostatecznym rachunku, na oku utylitaryzm, nawet w niedzielę, w koszalińskim parku, zmieszani z młodzieża zażywającą wytchnienia. „Dziewczęta, można powiedzieć jak łanie, jak najzdrowsze rzepy". Pragnęliby skrzynąć ich tam, do „polskiej Kanady", jak najwięcej. I oczywiście chłopców. „Zaborczych, nieujeżdżonych". „Chmury by takiej trzeba, która jak deszcz przyniosłaby ludzi".

Ale ludzi. Takich, co może nie wiedzą o dawnym Wałończyku-Anonimie, lecz, jak on, nie chcą darmo jeść chleba polskiego. Co pracą stworzą dla siebie i drugich ojczyznę, „w której powietrze jest zdrowe, rola urodzajna, woda rojna rybą, konie wytrzymałe, woły zdatne do orki, krowy mleczne, owce o bujnym runie" — jak pisał po łacinie w leoninach aleksandryjskich nasz najdawniejszy kronikarz. Ich werbunek jest rzeczą najważniejszą z ważnych. Na osadników, „do tej wsi niemieckiej, gdzie wójt jest jedynym Polakiem, aby miał z kim zamienić ludzkie słowo". „Na wspomożenie" wynędzniałych spod Sarn, aktualnie milicjanta, który dokonuje reprezentacji na boso i w portkach cywilnych, bez utwierdzającego papierka z Warszawy". Do miast, gdzie wciąż jeszcze nie trudno o przytulną willę z winogradem w ogródku i o lokale na przedsiębiorstwa. „Ot, tu Polacy, i tam Polacy. tylko tak strasznie ich jeszcze mało" — wzdychamy wraz z autorami reportażu.

Mają oni otwarte oczy i chłoszczące słowa dla szczurów, które unoszą z Pomorza łup, grabarzy pobojowisk, jak mówią, o psim węchu i pierwotnym instynkcie. I dla niemniej szkodliwych zarządzeń — biurokracji np. w dziedzinie komunikacji samochodowej. I dla starszego sierżanta, kierownika zajętego majątku, co wzbronił wysłannikom starosty sławna spisania na wsiach poniemieckiego inwentarza. I dla „faceta" z pewnego PURu, co zacznie pracować dopiero, gdy dostanie transport i wojsko. Słowem dla całego Pomorza przez małe „p", które jest, którego oczywiście nie może nie być. „Na Pomorzu kłosi się żyto, a tuż obok śmieją się beztrosko bławatki, pysznią purpurowe maki, zadzierając głowę rozpychają się kąkole. Oto istota nie tylko krajobrazu, ale całego życia, kształtującego się na prędce, dziwacznie, czasem nawet horendalnie".

Ale co nieprawda, to nieprawda. Na Pomorzu nie straszy. Niemcy skapitulowali i ciągną niezmotoryzowanym sposobem na swój zachód. Wojsko polskie usuwa trudności i nieporozumienia. Tak więc „tę niewielką książeczkę rzucamy w obałamuconych, zahipnotyzowanych, i jak w dziecięcej zabawie wołamy: — Budzimy was! Za miesiąc może już być za późno".

Poziom propagandy naprawdę godny jest wielkiego celu. Choć nakład książeczki jest wysoki, powinna rozejść się w lot. I z pożytecznej intencji i z żywej treści i z nienagannej formy, którą jej nadano.

Józef Sieradzki

Co archiwom polskim zabrała wojna

Ostatnia wojna, zwłaszcza w swej końcowej fazie, przetrzebiła straszliwie nasze zbiory archiwalne. Jeszcze za wcześnie, byśmy mogli dokładnie zdać sobie sprawę z rozmiarów zniszczeń w tej dziedzinie, nie znamy bowiem losów wywiezionych do Niemiec archiwaliów warszawskich, poznańskich i krakowskich, nie wiemy co ocalało z bogatych, a tak bezpośrednio dotyczących Polski archiwów Wrocławia i Gdańska. Żywimy także jeszcze nieśmiałą nadzieję, że spod gruzów zniszczonych budynków archiwalnych w Warszawie to i owo da się wydobyć i ocalić z zespołów, które w chwili obecnej uważamy za całkowicie przepadłe. Dopiero więc po wyjaśnieniu tych spraw będzie można sporządzić ostateczny bilans, niewątpliwie bardzo smutny. Zanim w prasie naukowej ukaże się takie szczegółowe zestawienie doznanych strat, wyliczam je tu pokrótce. Nie będzie to bezcelowe, bo nie tylko ogół społeczeństwa, ale i specjaliści historycy, ba, nawet niektórzy spośród archiwistów wiedzą o tych rzeczach bardzo mało, a często wiadomości ich są zgoła błędne.

Oblężenie Warszawy we wrześniu 1939 r. poczyniło dość znaczne spustoszenia w zbiorach archiwalnych, ale te straty były niczym w porównaniu z katastrofą z roku 1944. Istniały na terenie stolicy cztery archiwa państwowe i archiwum miejskie: Główne Akt Dawnych na Długiej, Akt Dawnych na Jezuickiej, Skarbowe w Ministerstwie Skarbu na Rymarskiej, Oświecenia w skrzydle pałacu kazimierzowskiego na Krakowskim Przedmieściu i Miasta Warszawy w dawnym Arsenale przy zbiegu Bielańskiej, Długiej i Nalewek. W czasie okupacji Niemcy stworzyli jeszcze jedno archiwum Akt Nowych, zwożąc na Rakowiecką do gmachu S. G. H. akta wszystkich ministerstw i centralnych urzędów państwowych z terenu Warszawy. Zajmę się kolejno losami tych archiwów.

Więc najpierw Archiwum Główne Akt Dawnych, ze względu na swą zawartość najczęściej odwiedzane wszystkich polskich. Z zawieruchy 1939 r. wyszło cało, dzięki odwadze i determinacji dyr. Siemieńskiego (zmarł w Oświęcimiu), który przy pomocy urzędników i woźnych gasił padające na dach bomby zapalające. Niebezpieczeństwo było wielkie, bo gmach archiwalny, dawny pałac Badenich, budowany w początkach XIX stulecia, mógłby się zająć bardzo łatwo i wtedy wszystko poszłoby z dymem.

Zaraz po zajęciu Warszawy wzięli Niemcy archiwa tamtejsze pod bardzo ścisły nadzór i poczęli stopniowo wywozić to wszystko, co dotyczyło ziem przyłączonych do Rzeszy, lub co z innych względów budziło ich szczególniej bliskie zainteresowanie. Zabrali więc do Poczdamu akta zarządu Prus Południowych z lat 1795—1806 i całe archiwum byłego niemieckiego generał-gubernatora warszawskiego z lat 1915—1918. Wywieźli też do Królewca nader cenny zbiór dokumentów krzyżackich (70 sztuk). W r. 1942 przewieźli do Poznania wszystkie księgi sądowe grodzkie i ziemskie, dotyczące tych terenów b. Kongresówki, które teraz przyłączone do Rzeszy, stanowiły przed rozbiorami prowincję wielkopolską. Powędrowały więc akta województw: kaliskiego, brzesko-kujawskiego z ziemią dobrzyńską, inowrocławskiego, łęczyckiego i sieradzkiego. Z sieradzkiego tylko księgi powiatów piotrkowskiego i radomskiego zostały w Warszawie, jako jedyny szczątek Wielkopolski. Księgi dotyczące północno-zachodniej połaci Mazowsza, przyłączonej administracyjnie do Prus Wschodnich, miały iść do Królewca. Przyjeżdżały stamtąd komisje, obliczały „metry bieżące", kiwały głowami nad ich przerażającą mnogością i wreszcie odjeżdżały z próżnymi rękami. Podobno na takie masy voluminów nie było miejsca w królewieckim archiwum, a i o wagony nie było łatwo. Ostatecznie ograniczyli się Niemcy do żądania zabezpieczenia tych właśnie ksiąg, wobec czego wiosną 1944 r. złożono je wszystkie w suchych podziemiach kościoła parafialnego na Łazienkowskiej. Spoczęły tam akta grodzkie i ziemskie województwa płockiego i znacznej części mazowieckiego, w sumie ponad dwa tysiące ogromnych foliałów. Szczęśliwie dotrwały do chwili wyzwolenia Warszawy.

Najcenniejsze materiały Archiwum Głównego już w r. 1939 były ukryte na Forcie Sokolnickiego, w schronisku nieco wilgotnym, lecz dość bezpiecznym. Wróciły potem w znacznej części na Długą, by w r. 1941, od chwili wybuchu wojny z Rosją, zacząć powrotną wędrówkę na Fort. Wiosną 1944 r. tempo wywożenia rzeczy najwartościowszych przybrało na sile, z przyczyn jednak natury technicznej zbawienna ta akcja mogła objąć tylko cząstkę zbiorów. A stanowiły one archiwa wszystkich władz centralnych dawnej Rzeczypospolitej, przedrozbiorowych władz partykularnych z terenu Kongresówki, oraz porozbiorowych władz sądowych z tegoż terenu.

Zabezpieczono tedy cały zbiór pergaminów, Metrykę Koronną i jej działy, tj. sigillaty metryczne i księgi kanclerskie, Metrykę Litewską w odpisie z XVIII w., obejmującym stulecia XV i XVI, całe niezmiernie cenne tzw. Archiwum Królestwa Polskiego, (głównie dotyczące panowania Stanisława Augusta) i Archiwum Insurekcji Kościuszkowskiej. Dalej Rachunki Królewskie, Akta Sądów Sejmowych, Akta Komisji Wojskowej, cały zbiór kartograficzny i tzw. Archiwum Skarbu Koronnego (staropolskie księgi poborowe, lustracje dóbr królewskich itd.) stanowiące dawniej część Archiwum Skarbowego, a na krótko przed wojną przekazane na Długą. Z aktów austriackich dotyczących terenu przyłączonego do Księstwa Warszawskiego w r. 1809 został zabezpieczony zespół „Hoffkammer". Wywieziono również na Fort tzw. „Archiwum Popielów", tj. znaczną część aktów kancelarii osobistej Stanisława Augusta, przekazanych przez ostatniego króla na wyjeździe z Warszawy szefowi tej kancelarji, Marcinowi Badeniemu. Archiwum to zawiera bogatą korespondencję polityczną króla, raporty polskich posłów za granicą i jest bezcennym źródłem do epoki upadku Polski. Już niemal przed samym powstaniem wywieziono na Fort najstarsze akta grodzkie i ziemskie warszawskie, mniej więcej do r. 1600. Znalazły się tam również, niestety tylko częściowo, akta miejskie starej Warszawy.

Archiwum Główne przetrwało działania wojenne na terenie Starego Miasta. Jeden pocisk artyleryjski wybił dziurę w ścianie pracowni, drugi zniósł narożnik od placu Krasińskich i Długiej. Pokoje biurowe były zasłane stosami książek, połamanych mebli, potłuczonego szkła, ale magazyny całe. Pracownicy archiwum z dyr. Stebelskim na czele wynieśli z nich przy pomocy wojska wszystko, co się dało wynieść. Zapełniono piwnice stosami bezcennych aktów po to, by Niemcy, stawszy się panami tej dzielnicy, wypalili je doszczętnie. Była zrazu iskierka nadziei, że ogień strawił nie wszystko, że niektóre z piwnic ocalały, próbne jednak kopania nie wykazały na razie pod gruzami nic, prócz popiołów. Przepadły więc bezpowrotnie z czasów przedrozbiorowych: akta Assessorii koronnej, Trybunałów Koronnych Lubelskiego i Piotrkowskiego, oraz Sądów Marszałkowskich. Księgi Wyroków i Zapisów Trybunalskich, materiał przebogaty, nader mało wyzyskany, to strata niepowetowaną. Przepadły dalej akta grodzkie i ziemskie, dotyczące terenu środkowej i południowej Kongresówki (woj. rawskiego i części: sieradzkiego, mazowieckiego, podlaskiego, sandomierskiego i krakowskiego). Dalej akta władz centralnych zaboru austriackiego, dotyczące ziem oddanych Księstwu Warszawskiemu w r. 1809 (z wyjątkiem wspomnianej „Hoffkammer"), akta władz centralnych i ministeriów, dotyczące ziem zaboru pruskiego oddanych Księstwu Warszawskiemu 1807 r., a nie przekazanych Prusom 1815 r. Wszystkie akta sądów porozbiorowych, tak centralnych, jak i partykularnych z obrębu Król. Kongresowego aż po r. 1876, archiwa skasowanych klasztorów z terenu Królestwa, wreszcie archiwa miast prowincjonalnych Kongresówki od początku XIX wieku. Oto z grubsza wyliczone pozycje, których utrata pracę historyków nad wieloma doniosłymi zagadnieniami albo uniemożliwi całkowicie, albo też znacznie zredukuje jej wartość. W Archiwum Głównym znajdowały się również złożone jako depozyty archiwa prywatne; m. in. było tam cenne archiwum Czetwertyńskich, zawierające papiery i listy generała-poety Kropińskiego, autora „Ludgardy".

Archiwum Akt Dawnych na Jezuickiej, największe w Warszawie, jeśli idzie o cyfrę posiadanych fascykułów, zawierało akta centralnych władz administracyjnych z doby porozbiorowej. Z działań wojennych w r. 1939 wyszło nietknięte. W r. 1944 w czasie bombardowania Starego Miasta budynek archiwalny został całkowicie spalony i zburzony. Ponieważ zawalił się dość szybko, istniała nadzieja, że gruzy stłumiły ogień i nie wszystkie papiery spłonęły. Niedawno czytaliśmy w gazetach o prowadzonych na Jezuickiej pracach „wykopaliskowych". Z archiwum tego zabezpieczono na Forcie Sokolnickiego rzeczy następujące: z Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych akta do r. 1840 (z 32 tys. woluminów — 8 tys.), Radę Stanu Księstwa i Królestwa, akta polityczne Senatu Królestwa, Kancelarię Własną W. Ks. Konstantego, protokuły Rady Administracyjnej, Komisję Rządową Wojny, Sekretariat Stanu Księstwa Warszawskiego, zbiór kartograficzny oraz cimelia z powstańczych aktów sądowych, więc nieco aktów śledczych z r. 1831, 1863 i nieco aktów tzw. Naczelników Wojennych. Ocalały również akta spraw politycznych kancelarii Generał Gubernatora Warszawskiego, oraz kancelarii Gubernatora i Rządu Gub. Warszawskiego i Łomżyńskiego. Ogromna ilość przechowywanych na Jezuickiej aktów stanowiła dla adeptów historii niemożliwe do wypicia morze. Stąd paradoksalna sytuacja: zniszczenie olbrzymiej większości tych aktów, zamiast sparaliżować działalność piśmienniczą historyków epoki najnowszej, zapewne ją ożywi, czy jednak doda wartości istotnej ich pracom, to rzecz inna.

Archiwum Skarbowe, mieszczące się dawniej w gmachu Ministerstwa Skarbu na Rymarskiej, zawierało akta władz skarbowych i urzędów włościańskich Księstwa i Królestwa. Z tego 50% spłonęło w r. 1939, reszta zaś, przeniesiona na Podwale do dawnego gmachu Muzeum Narodowego, uległa tam całkowitej niemal zagładzie w r. 1944. Ocalały jedynie strzępy Akt Specjalnych, oraz Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu. Archiwum na Podwalu spalili Niemcy już po zakończeniu działań wojennych w tej dzielnicy.

Archiwum Oświecenia spalone w r. 1939 w 99%, w czasie powstania straciło i tę nikłą resztkę.

Archiwum Akt Nowych uległo zniszczeniu już po kapitulacji, podobno po oświadczeniu Branniga, niemieckiego kierownika urzędu archiwalnego, iż nie widzi powodów oszczędzania tego archiwum. Ocalała jedynie niewielka ilość aktów personalnych i protokuły Rady Ministrów z l. 1918—1939, choć nie bez luk. Nie trzeba chyba mówić, czym jest to zniszczenie dla przyszłych badaczy 20-lecia międzywojennego.

Archiwum Miasta Warszawy w Arsenale zostało zniszczone w r. 1944.

Archiwum kapitulne w katedrze św. Jana, naukowo zupełnie nie wyzyskane, nawet nie zbadane, spłonęło wraz z katedrą.

Po powstaniu część ocalonych archiwaliów (ponad 1000 skrzyń) przewieziono z Fortu Sokolnickiego na Jasną Górę, gdzie niedostępne dla uczonych lecz w pomieszczeniu suchym i bezpiecznym czekają powrotu do stolicy. Jeszcze przed powstaniem zamierzano wywieźć do Częstochowy znacznie więcej aktów co cenniejszych, niestety nie doszło do tego z powodu braku wagonów.

Obraz warszawskich strat archiwalnych nie byłby pełny, gdybyśmy nie wspomnieli choć w kilku słowach o losach rękopisów po bibliotekach. Niemcy w dobie okupacji dokonali bezmyślnej komasacji rękopisów i starych druków należących do zbiorów państwowych (lub przez nich upaństwowionych), zbierając je na Okólniku w Bibliotece Krasińskich. Tak więc własne zbiory tej biblioteki, bardzo bogate, zostały pomnożone bezcennymi rewindykatami z Rosji z dawnej Biblioteki Załuskich, stanowiącymi własność Biblioteki Narodowej. Weszły tu również zbiory rękopisów Biblioteki Uniwersyteckiej i Rapperswilskiej. Rapperswilska mieściła się przed wojną w Alejach Ujazdowskich wraz z Centralną Biblioteką Wojskową i wraz z nią spłonęła w r. 1939. Ocalono jedynie rękopisy oraz zbiór druków emigracyjnych i one to teraz znalazły się na Okólniku. Znalazł się tu również bezcenny zbiór materiałów do historii legionów, tzw. Archiwum gen. Dąbrowskiego, przechowywane dawniej w gmachu sztabu głównego w Petersburgu, oprócz tego duża ilość prywatnych depozytów archiwalnych, niekiedy wielkiej wartości, z Warszawy i z prowincji. Wszystko to ukryto w piwnicach gmachu, wypalonych doszczętnie w październiku 1944 r. Możemy dziś powiedzieć śmiało, iż Bibliografia Estreichera w części poświęconej starym drukom, mówiąc o tych, które się znajdowały w Warszawie, jest teraz jedynie ich nekrologiem. Niezmiernie bogate materiały bibliograficzne Kazimierza Piekarskiego, materiały, które miały się stać podwaliną specjalnego instytutu naukowego, spłonęły również na Okólniku.

Biblioteka Zamoyskich straciła w r. 1939 swój zasób książek nowszych (po r. 1850), największy w Polsce zbiór starych kalendarzy i Archiwum Związku Zamoyskich, w czym szczególniej cenna dla historii emigracji korespondencja gen. Władysława Zamoyskiego. Stare druki i wszystkie rękopisy wtedy ocalały. W czasie powstania, gdy płonął budynek biblioteczny, wyniesiono do piwnic znaczną część rękopisów, jednak bez większego wyboru, tam znaleziono potem rzeczy bezcenne, pomieszane z papierami małej wartości. Po powstaniu większość tych smutnych resztek wywieziono do Niemiec, skąd o ich losie nadchodzą niepokojące wiadomości.

Archiwum Radziwiłłów, bezcenne dla historii XVI stulecia, przewiezione z Marszałkowskiej w okolice Warszawy, powstanie przetrwało szczęśliwie, lecz potem również zostało wywiezione do Niemiec.

Biblioteka Przeździeckich spalona w r. 1939, w czasie okupacji egzystowałą na Szczygłej w bardzo już nikłych szczątkach, przeważnie archiwalnych, a i te zostały znów mocno przetrzebione w r. 1944.

Tak się w tej chwili przedstawia sprawa archiwaliów warszawskich. O Poznaniu wiem znacznie mniej, mogę też podać tylko ogólnikowe dane. Jeszcze przed ostatnią ofensywą rosyjską władze niemieckie wywiozły na prowincję wszystkie przedrozbiorowe akta z tamtejszego Archiwum Państwowego. Zostały one rozmieszczone po kościołach, potem zaś akta najstarsze przetransportowano w głąb Niemiec, podobno do Lüneburga. W czasie działań wojennych na terenie Poznania spłonął gmach archiwum na Górze Przemysława, a w nim wszystkie archiwalia odnoszące się do wieków XIX i XX, bogata biblioteka podręczna i papiery Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Archiwum Archidiecezjalne w dawnym Kolegium Lubrańskiego ocalało. Niemcy zgromadzili w Poznaniu kościelne księgi metryczne z całego „Warthegau". Bezcenny ten zbiór znajduje się dziś w klasztorze Filipinów w Gostyniu. Księgi pochodzące z innych diecezji zostaną odesłane prawym właścicielom, księgi z okresu po 1850 r. wrócą do odnośnych parafii, starsze zaś powędrują do archiwum archidiecezjalnego. Rękopisy spalonej Biblioteki Raczyńskich zostały przez Niemców wywiezione. Może się znajdą w Obrzychu, siedzibie niemieckiego kuratora biblioteki, dokąd wywieziono część książek. Nieznany jest również los rękopisów Biblioteki Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Książki z Biblioteki Towarzystwa w znacznej części odnaleziono. Przeszkadza poszukiwaniom brak środków transportowych, zwożeniu zaś rzeczy odnalezionych brak pomieszczeń w na wpół spalonym mieście. Archiwum posiada już około tysiąca tomów aktów grodzkich i ziemskich (w tym część aktów pochodzących z Archiwum Głównego w Warszawie, przywiezionych do Poznania w r. 1942). Zalegały posadzkę któregoś z prowincjonalnych kościołów; gdy wrócił proboszcz i kościół wyprzątano, miejscowi chłopi załadowali księgi na furmanki i odwieźli do Poznania. Większość jednak pozostaje nadal rozsiana po zapadłych kątach prowincjonalnych, których ustalenie nie tak łatwe wobec tego, iż w swoim czasie od ewakuacji odsunięto urzędników polskich. W każdym jednak razie, jeśli idzie o archiwalia, Poznań w porównaniu z Warszawą wyszedł obronną ręką, zwłaszcza że i zbiory w Kórniku pod Poznaniem zachowały się w całości.

Oto obraz, niestety daleki od ścisłości, oparty na wiadomościach zbieranych różnymi czasy, może więc nie zawsze zgodny ze stanem rzeczy w chwili, gdy piszę te słowa. Trudno dziś jednak o ściślejszy, a i ten starczy, by wykazać jak niezmiernie ciężkie straty w tej dziedzinie przyniosła Polsce ostatnia wojna, zwłaszcza zaś tragiczny rok 1944.

Włodzimierz Dworzaczek

Straty orientalistyki polskiej

Straty poniesione przez orientalistykę polską podczas lat wojny są nad wyraz ciężkie i bolesne. Zmarło i zginęło męczeńską śmiercią wielu uczonych, profesorów, studentów, zbieraczy. Zmarł nestor orientalistyki polskiej prof. Kotwicz z Wilna, indianista prof. Schayer z Warszawy, w Rosji zmarł semitolog prof. Schorr, zginęli zamordowani w ghetcie archeolog bliskiego Wschodu docent Stefan Przeworski, semitolog Kunstlinger i Weinberg. Jeden z orientalistów polskich przeszedł na drugą stronę, do narodu oprawców i podpalaczy. O wielu nie ma jeszcze wiadomości.

Takie same straty, bliskie niemal zupełnej zagładzie, poniosły biblioteki i zbiory orientalne w Warszawie. We wrześniu 1939 r. zniszczeniu uległ księgozbiór Instytutu Orientalistycznego Uniwersytetu Warszawskiego przy ul. Królewskiej, wraz z książkami orientalnymi przeniesionymi tam z Biblioteki Uniwersyteckiej, później uległa zniszczeniu biblioteka synagogi warszawskiej. W 1944 r. podczas powstania i po powstaniu Niemcy zniszczyli, jak się zdaje, wszystkie bez wyjątku biblioteki i zbiory orientalne Warszawy, a więc bibliotekę Instytutu Wschodniego przy ul. Miodowej, bibliotekę Zatorskiego przy ul. Kanonii, bibliotekę po prof. Schayerze przy ul. Brzozowej, księgozbiór indianistyczny St. F. Michalskiego przy ul. Wawelskiej 40 (6000 tomów), dużą bibliotekę dzieł z dziedziny assyriologii, arabistyki, turkologii, egiptologii im. Al. Chojnackiego przy Al. Niepodległości, bibliotekę i zbiory Przecława Smolika i niewątpliwie wiele jeszcze innych mniejszych księgozbiorów. Istnieje możliwość, że przynajmniej niektóre z tych bibliotek zostały wywiezione do Niemiec, być może do Halli nad Saalą do biblioteki Towarzystwa Niemieckiego Orientalnego (Deutsche Morgenländische Gesellschaft in Halle a/S.).

Jasną jest rzeczą, że jeżeli na miejsce książek zniszczonych, zrabowanych, spalonych nie otrzymamy takich samych książek z niemieckich bibliotek, to orientalistyka polska w Warszawie nie będzie miała możności ani istnienia ani rozwoju, gdyż książki dotyczące Wschodu, na ogół są rzadkie, drukowane przeważnie w niewielu egzemplarzach i w normalnych warunkach trzeba było 30 przeszło lat, by skompletować niektóre jej działy, korzystając przy tym z katalogów antykwarskich całego niemal świata.

Jedynym więc wyjściem jest uzyskanie od Niemców zwrotu w naturze książek zniszczonych. Niemcy mieli dwadzieścia parę uniwersytetów, każdy z bogatymi bibliotekami specjalnymi, a więc i orientalnymi, a przede wszystkim mają dotąd wielką bibliotekę Deutsche Morgenländische Gesellschaft w Halli, która powinna być zabezpieczona przez nasze władze jako ekwiwalent za zniszczone książki orientalne w Warszawie. Halla znajduje się obecnie w strefie okupacji radzieckiej. Gdy biblioteka ta będzie przeniesiona do Warszawy, wtedy uzyskamy potężny ośrodek badawczy dla polskiej orientalistyki: biblioteka ta pozostawiona w Niemczech, wobec istnienia dziesiątków innych bibliotek tego rodzaju, nie miałaby, jak nie miała dotąd, większego praktycznego znaczenia dla uczonych niemieckich.

St. F. Michalski

KRONIKA KULTURALNA ZSRR

Obóz śmierci w Sobiborze był mniej sławny lecz równie straszny jak inne. O powstaniu, które w nim wybuchło 14 października 1943 roku, opowiadają P. Antokolskij i W. Kawierin („Znamia", 1945, 4). Kierował nim oficer Czerwonej Armii Aleksander Pieczarskij, przywieziony z grupą radzieckich jeńców-Żydów z Mińska. Udatnie uknuty przezeń spisek doprowadził do zgładzenia strażników i ucieczki w las kilkuset więźniów, z których uratowało się ostatecznie około 50 osób. Sam Pieczarskij dobył się do oddziału partyzantów.

W wydawnictwie literatury dla dzieci („Detgiz") ukazała się książka Ewy Curie „Życie Marii Curie." „Skromna polska studentka, która przyjechała do Paryża, by zdobyć wykształcenie, zostaje żoną genialnego uczonego Piotra Curie, wraz z nim przeprowadza badania nad radem i radioaktywnością, które zyskują światową sławę, otrzymuje dwie nagrody Nobla z chemii i fizyki (pierwszy dotąd i jedyny wypadek w praktyce przyznawania nagród Nobla), i na szczycie sławy pozostaje tą samą, niewrażliwą na zaszczyty i karierę, pionierką nauki."

Fryderyk Nietzsche ma ustaloną opinię chociażby dzięki uwielbieniu, którego doznawał ze strony „filozofów" i „myślicieli" Trzeciej Rzeszy. I. Leźniew poświęcił mu osobne studium, którego część ogłosił drukiem pt. „Prorok imperializmu i faszyzmu" („Znamia" 1945, 4). Leźniew ma słuszność stwierdzając, że przyszedł czas na przeczytanie Nietzschego na nowo, przy czym idzie nie o spopularyzowane pozycje jak „Tako rzecze Zaratustra", „Narodziny tragedii", „Antychryst" i in., lecz mniej znane: „Poza dobrem i złem", „Genealogia moralności", „Przewartościowanie wartości", „Ecce homo", „Wola mocy", „Pisma pośmiertne". „Gdy zajmiemy się tą lekturą dziś, przy świetle faszystowskich pożarów, wystąpią na jaw te miejsca u Nietzschego, które dawniej w ogóle nie zwracały uwagi albo mogły uchodzić za coś „niewinnego", politycznie neutralnego. Charakter nauki filozofa i jego osobowość ujawnią się w nowy sposób." Z pism tych zbiera Leźniew materiał pełnymi garściami, demaskując zwyrodniałego dekadenta, który głosił ku zachwytowi pięknoduchów „redukcję moralności do estetyki" i ku uciesze idealistów redukcję rozumu do instynktu — jako obrońcę parazytyzmu ludzi siódmego dnia przeciw ludziom sześciu dni, ideologa plutokracji i kapitału finansowego, arystokratów i junkrów, imperializmu, militaryzmu, zaborczej wojny, prusactwa, jako herolda teorii lepszości narodów i grup społecznych, nienawiści rasowej i okrucieństwa. Oto kilka aforyzmów filozofa w dowolnym wyborze z pominięciem najjaskrawszych: „Chcę być panem nad narodami. Bo bracia moi, to co jest lepsze chce rządzić!" „Kochajcie pokój jako środek do nowej wojny. A krótkotrwały pokój jest lepszy niż długotrwały." „Mój punkt wyjścia to prusactwo." „Widzieć cierpienia — rzecz dobra, przyczyniać cierpienia jeszcze lepsza." „Krzywa wrażliwości ludzkiej na ból opada zdecydowanie i niemal nagle, jeżeli odliczyć 10 tysięcy bądź 10 milionów ludzi wyższej kultury." „Łamanie kołem było własnym wynalazkiem i specjalnością niemieckiego geniusza w dziedzinie kar..." (z aprobatą). — Praca Leźniewa jest bardzo pożyteczna, tym bardziej, że jeszcze niedawno nie brakło prób rewindykacji Nietzschego, rzekomo jednostronnie zarekwirowanego przez hitleryzm. W mnogich aforyzmach jego znalazłoby się sporo na poparcie tej fałszywej i szkodliwej tezy. Przegląd myśli niemieckiej jest bardzo na czasie. Trzeba wglądnąć we wszystkie jej skrytki, jak przeszukuje się w Niemczech zakłady przemysłowe i laboratoria. Należy to do programu skutecznego rozbrojenia.

js

Wszystkie wydawnictwa nadsyłane do redakcji będą odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości w dwóch egzemplarzach.

W poprzednim (42) numerze „Odrodzenia" z dnia 16 września: **Jerzy Kirchmayer:** Kampania wrześniowa. — **Tadeusz Różewicz:** Elegia. Ranny. Na widnokręgu. — **Wilhelm Mach:** Rdza. — **Jan Sztaudynger:** Kapitulacja Warszawy. — **Jan Smutek:** Nietota. Obraz dnia. — **Zofia Marynowicz:** Ziemia naszej przyszłości. — **André Billy:** Francuz o literaturze francuskiej. — **Wacław Kubacki:** „Powrót taty". — **Józef Sieradzki:** Z obozów. — **Tadeusz Dobrowolski:** Wystawa malarstwa i rzeźby w Krakowie. — **Jan Alfred Szczepański:** Rok 1945. Sens pewnych wyborów. — **Stefania Łobaczewska:** Współczesna muzyka polska na festiwalu krakowskim. — Kronika ilustrowana. — **(kb):** Kisiel i masło. — **Jerzy Broszkiewicz:** W teatrach krakowskich. — Kronika amerykańska. — Kronika francuska. — 4 ilustracje. — 8 stron.

Kronika ilustrowana

MŁODZI KOMPOZYTORZY POLSCY

GRAŻYNA BACEWICZÓWNA

JAN EKIER

ARTUR MALAWSKI

ROMAN PALESTER

Sztuki piękne w mieście Kopernika

Opuszczając Toruń, okupant ograbił miasto z dzieł sztuki, muzealiów, archiwaliów i księgozbiorów. Sztuki piękne ucierpiały szczególnie silnie. Zdawałoby się, że w tej pustyni artyści-plastycy nie prędko znajdą pole pracy. A jednak...

Minęło zaledwie kilka tygodni od oswobodzenia Torunia, a już miejscowi plastycy pomyśleli o zorganizowaniu życia artystycznego. Najbardziej zajmowała ich akcja ratowania i zabezpieczania dzieł sztuki na terenie Torunia i sąsiednich powiatów.

Dopiero, po unormowaniu się stosunków, życie artystyczne ujęto w ramy organizacyjne.

Przewodnią myślą pierwszego zebrania, które zainicjował Eugeniusz Gros, było wznowienie znanej Konfraterni Artystów.

Konfraternia istniała bez przerwy od roku 1920 do wybuchu wojny 1939 r. i jakkolwiek jej linia rozwojowa na przestrzeni lat 20 wykazuje znaczne wahania i załamania, a w okresie tuż przed wojną znaczny spadek, ogólnie rzecz biorąc, organizacja ta ma chlubną tradycję w dziejach kultury Torunia.

Chlubiło się swą Konfraternią Pomorze i wiedziała o jej poczynaniach cała Polska, a „Teka Pomorska", pismo regionalne, wydawane przez Konfraternię, docierało wszędzie, gdzie żywo zajmowano się sprawami Pomorza i śledzono jego wysiłki nad podniesieniem i rozwojem życia kulturalno-artystycznego.

Okupacja zniszczyła dorobek wielu lat. Zdemolowano lokal, bibliotekę zniszczono, roczniki „Teki Pomorskiej" i pisma literackie popalono; poginęły akta Konfraterni.

Istniały po minionym okresie okupacji próby restytuowania Konfraterni, próby te jednak pozostały bez rezultatu. Funkcje Konfraterni podzieliły między siebie dwie nowe organizacje: Związek Artystów-Plastyków i Klub Artystyczno-Literacki. Tworząc Związek Artystów-Plastyków w Toruniu, podkreślono jego charakter zawodowy, a nie klubowy, jaki miała Konfraternia Artystów. W początkach swych liczył Związek zaledwie 10 członków, głównie torunian, w tym 5 dawnych konfratrów. Dopiero z początkiem maja br. rozpoczął się silniejszy rozwój Związku. Wtedy to plastycy, po uporaniu się z trudnościami chwili, odczuli potrzebę pracy, a równocześnie zaczęli napływać do Torunia plastycy z terenów zabużańskich, zwłaszcza z Wilna. Plastycy toruńscy korzystają na razie z pracowni konserwatorskiej przy ul. Żeglarskiej nr. 5 oraz z gościnnych sal O. M. T. U. R.u przy ul. Podmurnej nr. 2.

Związek Artystów-Plastyków w Toruniu wchłonął w siebie dawną Konfraternię Artystów, przejął jej tradycje artystyczne (sprawy ogólno-kulturalne odstępując na rzecz Klubu Artystyczno-Literackiego) i wytyczył sobie szeroki plan działania z uwzględnieniem warunków nowej rzeczywistości.

Do ustalenia charakteru zawodowego Związku przyczyniły się również trudności materialne i ciężkie warunki pracy 24 zrzeszonych plastyków.

Pewien objaw żywotności Związku stanowiła wystawa akwarel Edwarda Duklana, otworzona 1 lipca br. w gmachu TUR, pierwsza wystawa malarska w Toruniu, skromna wprawdzie rozmiarami, lecz interesująca. Edward Duklan, Ślązak z urodzenia, warszawianin z nałogu, choć większość swego życia artystycznego (a maluje już prawie 25 lat) spędził za granicą, wystawiał w I. P. S.-ie, w salonach stolicy, w Krakowie. Maluje olejem i akwarelą. Na wystawie toruńskiej zaprezentował głównie pejzaże i motywy architektoniczne.

Wystawą swą otworzył Duklan podwoje T. U. R.'u dla zbiorowej wystawy Związku, której otwarcie nastąpiło dnia 29 lipca br. Siedemnastu zrzeszonych plastyków i trzech gości wystawiło z górą 150 prac, co świadczy o poważnym już dorobku braci artystycznej. Zainteresowanie wystawą było duże. Zwiedziło ją przeszło 5.000 osób.

Prace malarskie m. in. wystawili: Klaudia Chrucka (akwarele na temat pejzażu kujawskiego), Edward Duklan (akwarele — architektura Torunia), Bruno Gestwicki (portrety), Edward Grajewski (olej), Alojzy Goss (olej — akty i portrety), Bronisław Jamont (tempera i olej — pejzaże), Cezary Kowalski (olej), Tymon Niesiołowski (olej i akwarela — pejzaże), Zygmunt Tomkiewicz (olej i akwarela — pejzaże), Leonard Torwirt (olej, tempera, gwasze — fragmenty starego Wilna i Torunia), Anna Rudat Torwirtowa (technika woskowa i gwasz — motywy z Wilna) oraz Kazimierz Waluk (olej i gwasz).

Grafikę reprezentował Stanisław Rolicz, który wystawił 46 prac (drzeworyty, miedzioryty, akwaforty i akwatinty).

Rzeźbę wystawili konfrater toruński Ignacy Zelek („Głowa" w gipsie i „Głowa" w drzewie) oraz Jan Bakalarczyk (medaliony).

Stanisław Skura zaprezentował prace artystyczne w metalu (talerze ścienne — srebro, miedź i świecznik z żelaza).

Wystawa zbiorowa Związku Artystów-Plastyków w Toruniu, pierwsza w wolnej Polsce tego rodzaju wystawa na Pomorzu, była ważnym wydarzeniem kulturalnym nie tylko w życiu Torunia, lecz i całej dzielnicy nadbałtyckiej.

Obecnie lokale T. U. R.'u toruńskiego przygotowuje się do wystawy pośmiertnej dwu artystów pomorskich: malarza Edwarda Karolcja z Torunia i rzeźbiarza Wacława Bębnowskiego z Aleksandrowa Kujawskiego.

Mieczysław Dereżyński

PO PROSTU

Nieco prawa i ocena czynu

Nie będę teraz polemizował z Jerzym Andrzejewskim o ocenę moralną jego opowiadania „Przed sądem". Opowiadanie zostało odnalezione i mam nadzieję, że niedługo zobaczymy je w druku. Wtedy przed świadomym czytelnikiem będzie okazja raz jeszcze spór wytoczyć. Opowiadanie „Przed sądem" było tylko przykładem i pretekstem i nie poruszyłbym tak szeroko i publicznie sprawy „moralności" tego opowiadania, gdyby, jak słusznie pisze Andrzejewski w artykule „O obronę człowieka" („Odrodzenie", nr 38), „cała rzecz nie zaczepiała o zagadnienie nieporównanie rozleglejsze".

Chodzi tutaj bowiem o ocenę moralną czynów ludzkich, a ściślej mówiąc o wzięcie pod rozwagę w tej ocenie dwóch tak różnych składników, jak sprawa intencji i sprawa skutków czynu. I muszę się usprawiedliwić. Jeżeli bowiem po raz pierwszy w „Rozmowie" wybrałem dla mego felietonu kształt dialogu, to dlatego, aby lepiej dać wyraz własnym wahaniom, aby, rozłożywszy na głosy, ostrzej móc sformułować wątpliwości, jakie mnie nurtują. I dziwię się, że Jerzy Andrzejewski, pisarz tak czuły dla wszelkich rozróżnień, nie zauważył formy dialogu. Stąd część jego zarzutów uderza w próżnię. Nie byłem nigdy tak szalony, aby jedynie katolikom dać prawo patrzenia „w sumienie własne i sumienia innych", aby zamknąć życie wewnętrzne człowieka przed spojrzeniem laickiego pisarza. Jeżeli dawałem przykład osiemnastowiecznej powiastki filozoficznej, która, lekceważąc psychologię bohaterów, daje jednak bezbłędny historycznie i prawdziwy obraz epoki, to czyniłem to jedynie dlatego, aby wskazać jedną z dróg wyjścia z zaułków psychologizmu. Przyzna mi bowiem Andrzejewski, jest to już niemal truizmem dla naszego pokolenia, że drążąc coraz głębiej i głębiej w zakamarkach życia duchowego, zagubiliśmy zdolność do sprawiedliwej, ludzkiej i rozsądnej oceny postępowania człowieka.

Jeżeli bowiem, jak sam pisze „świat wewnętrznych przeżyć człowieka w przeciwieństwie do świata zewnętrznego, realistycznego jest niepoznawalny", jak ów świat osądzać i nie pobłądzić w osądzie? Co więcej, parę miesięcy temu pisał Andrzejewski w „Uwagach i notatkach": „można mieć nadzieję, iż obrońcy moralnych wartości opuszczą okopy atakowanych, sami przechodząc do walki. W tych odmienionych warunkach, wśród krystalizowania się ocen moralnych w ich kształcie społecznym, odmieniać się z pewnością pocznie i nasz dotychczasowy stosunek do Conrada, do jego świata, owej mrocznej i niepoznawalnej krainy, w której rozległych obszarach samotny aż do śmierci człowiek rozpaczliwie walczył o swoją godność i własne ocalenie".

Wiem, że Andrzejewskiego dręczą te same, co i mnie wątpliwości, trudniej mu jedynie, jako powieściopisarzowi wyrzec się bliskiej tradycji literackiej i zdać sobie sprawę z nieubłaganą ostrością z konsekwencji tego, co formułuje jako krytyk. Wszelkie wyrzeczenie jest trudne i nie dziwię się Andrzejewskiemu, że chciałby za wszelką cenę uratować i przemycić ocenę etyczną myśli, że cofa się przed spojrzeniem na czyn od strony jego skutków. Nie jest jednak przypadkiem, że właśnie teraz, po sześciu latach wojny, ten spór o sprawiedliwą ocenę czynów został wytoczony. Czyż bowiem od strony intencji i motywów, „od podziwu dla ludzkich pragnień i pogardy dla nikczemnych rojeń i myśli", śmierć i bohaterstwo żołnierza niemieckiego nie zrówna się ze śmiercią i bohaterstwem żołnierza radzieckiego, angielskiego, czy polskiego. Powieść pacyfistyczna po tamtej wojnie równała czyny i cierpienia obu stron walczących. Dzisiaj oburza to głęboko nasze poczucie moralne. Jeżeli śmierć milionów Niemców pozostawia mnie obojętnym, jeżeli gardzę zarówno bohaterstwem jak i cierpieniami żołnierzy faszystowskich, to nie dlatego, abym sądził, że inaczej walczą i inaczej umierają od naszych żołnierzy. Gardzę ich życiem duchowym, ich bohaterstwem i ich śmiercią, ponieważ bronili systemu, który zamienił Europę w jeden obóz koncentracyjny. Nie są sobie równe śmierci obrońcy faszyzmu i obrońcy wolności. I kiedy staną przed sądem zbrodniarze hitlerowscy, próżno się będą tłumaczyć niewiedzą o Oświęcimiu czy o Dachau. Nikt ich nie będzie pytał o intencje i motywy, o świat marzeń i pragnień. Odpowiadają za skutki, za społeczne i historyczne konsekwencje czynów.

Jerzy Andrzejewski nie jest dobrym prawnikiem. Nie jestem surowszy od prawa i nie chodzi tu jedynie o zasadę: „cogitationis poenam non patitur"; prawo nie karze myśli. Inną jest sprawą wymiar kary, a inną kwalifikacja i ocena przestępstwa. Przy wymiarze kary sędzia obowiązany jest zwrócić „uwagę przede wszystkim na pobudki oraz sposób działania sprawcy i jego stosunek do pokrzywdzonego, na stopień rozwoju umysłowego i charakter sprawcy, na jego dotychczasowe życie, tudzież na jego zachowanie się po spełnieniu przestępstwa" (polski kodeks karny, art. 54). Bezprawność jest natomiast, zacytuję prof. Makarewicza, „cechą obiektywną, niezależną od świadomości sprawcy... Stan subiektywny sprawcy gra rolę tylko przy rozważaniu zagadnień kary".

Kwalifikacja przestępstwa, a więc ocena czy czyn jest zdradą, kradzieżą czy zabójstwem, następuje w zależności od okoliczności obiektywnych, od skutków i charakteru działania. Kradzieżą jest „zabranie innej osobie cudzego mienia ruchomego w celu przywłaszczenia". Stąd nie popełnia nikt kradzieży, jeżeli przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności, omyłkę lub przypadek, zabierze komuś rzecz, która do niego samego należała lub należy, nawet, jeśli czyni to w przekonaniu, iż dokonywa kradzieży. I odwrotnie, będzie kradzieżą zabranie rzeczy cudzej, nawet w przekonaniu, iż zabiera się rzecz własną. Nie są to rozróżnienia teoretyczne. Słuszny był proces pewnego lokaja, który okradł wdowę swojego chlebodawcy. W parę tygodni po kradzieży nastąpiło otwarcie testamentu. Okazało się, że facet miał szczególnego pecha, albowiem zabrał wszystkie rzeczy, jakie mu zmarły chlebodawca w testamencie zapisał. Sąd go musiał zwolnić.

Morderstwo różni się od zabójstwa z premedytacją. Polski kodeks karny zniósł to rozróżnienie, ale nawet kodeks francuski, który to rozróżnienie przyjmuje, równa morderstwo z zabójstwem z zasadzki, uznając zasadzkę za obiektywny dowód premedytacji. Usiłowanie przestępstwa, jak dobrze wiemy, jest karalne. Otóż od strony intencji i motywów jest niewątpliwie jednakową zbrodnią niecelny strzał z rewolweru, co przekłucie fotografii trzema szpilkami o północy, w głębokiej wierze, że spowoduje to nagłą śmierć osoby, którą przedstawia fotografia. Nie odpowiada jednak za usiłowanie „kto tylko z powodu zabobonu lub ciemnoty wierzy w skuteczność swego działania". Co więcej, wszędzie kodeks karny troszczy się o rozróżnienie kwalifikacji czynu od jego intencji, o poddanie przestępstwa kryteriom obiektywnym i sprawdzalnym. „Kto dopuszcza się czynu nierządnego (straszny jest ten język ustawodawczy) względem osoby poniżej lat 15-tu, podlega karze więzienia", choćby był głęboko przekonany, że partner lub partnerka skończyła lat 16. I odwrotnie, kto owych „nierządnych czynów" dopuszcza się z osobą 16-letnią, nie popełnia przestępstwa, choćby był pewny, że ma do czynienia z małoletnią pod względem praw do życia seksualnego.

Na tym nie koniec. Kodeks przewiduje również przestępstwa nieumyślne. Zachodzą one wtedy, „gdy sprawca możliwość skutku przestępnego przewiduje, lecz bezpodstawnie przypuszcza, że go uniknie, lub gdy skutku przestępnego lub przestępności działania sprawca nie przewiduje, choć może lub powinien przewidzieć". To krótkie zdanie: „Może lub powinien przewidzieć" oznacza po prostu, że na miejsce badania intencji motywów oceniać się będzie odpowiedzialność winowajcy, „na chłopski rozum", a więc w kategoriach sprawdzalnych, obiektywnych i zgodnych z normalnym doświadczeniem.

Nie jestem surowszy od prawa. Nie chcę, aby pisarze oceniali czyny ludzkie w trybie postępowania doraźnego. Wydaje mi się raczej, że szkoła myślenia prawnego pozwoli pisarzom odnaleźć zagubioną zdolność sprawiedliwego osądu, który przy wymiarze kary bada intencje, a przy ocenie czynu — fakty. Nie ma, — słusznie pisze Andrzejewski, — idealnej i nieomylnej wiedzy o ludzkich czynach. Ale bardziej uchwytne i dostępne poznaniu są czyny i skutki czynów od myśli, pragnień i marzeń.

Jan Kott

KORESPONDENCJA

PIERWSZE WYSTĘPY JARACZA

Do redaktora „Odrodzenia"

Śmierć Jaracza wstrząsnęła do głębi sercami tych, którzy mieli szczęście podziwiać jego grę aktorską.

Pietyzm dla tego artysty skierował moje kroki do wioski Krzyż pod Tarnowem, gdzie spędził on swoje lata dziecięce i młodzieńcze. Tu bowiem jego ojciec, Jan Jaracz, był kierownikiem szkoły.

Zbiegiem okoliczności zastałem w szkole jej kierowniczkę, ob. Józefę Szneidrównę i nauczyciela, ob. Jana Oznaka, wertujących właśnie kronikę szkolną, zapoczątkowaną przez ojca artysty.

Z kroniki tej dowiedziałem się, iż artysta już w swojej wiosce próbował pierwszych sił w czasie najrozmaitszych uroczystości, których niemało urządzał jego ojciec, gorący patriota; świadczą o tym kroniki i ludzie, których on uczył i wychowywał w szkole.

Pierwsza wzmianka w kronice szkolnej o artyście znajduje się pod datą: 3 lipca 1898 r.

Oto słowa skreślone ręką jego ojca:

„Dnia 3 lipca 1898 r. odbyła się w sali szkolnej bardzo piękna uroczystość, celem uczczenia setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza, zorganizowana przez tutejszą młodzież...

2. Śpiew solo „Czarny krzyżyk". Stefan Jaracz.

4. Kowale i Kotków — Leon Matkiewicz i Stefan Jaracz".

Dalsze notatki w kronice o artyście:

„Dnia 19 sierpnia 1900 r. młodzież tutejsza szkół średnich za zezwoleniem kierownika szkoły urządziła przedstawienie i ułożyła program".

Nazwiska młodych artystów dramatycznych:

„1) Michał Habel, 2) Stefan Jaracz" itd.

Uzdolnienia wokalne, śpiewackie artysty i jego poglądy społeczne, którym hołdował w późniejszym życiu, poznajemy z następnej notatki:

„Dnia 27 lipca 1902 r. odbyła się wspaniała uroczystość grunwaldzka. Przed południem o g. 8 odprawił mszę z kazaniem patriotycznym ks. dr Michał Zaguliński, poseł do Rady Państwa, w miejscowej kaplicy przy akompaniamencie p. Jana Majchra, nauczyciela, i przy współudziale śpiewaków"; wśród kilku zapisanych nazwisk „śpiewaków" znajduje się też nazwisko Stefana Jaracza.

„Po południu (tego dnia) urządziło Kółko amatorskie wieczorek o g. 8 wieczorem za biletami.

1. Zagaił Stefan Jaracz, uczeń 8 kl. g., omawiając z młodzieńczym zapałem stanowisko ludu pod trzema zaborami i panów szlachty, sprzedających ziemię Komisji Kolonizacyjnej; wspomniał też i o tych, którzy Polskę noszą w kieszeni i wiozą ją np. do Monaco i przegrywają w karty, jak hrabia Józef Potocki.

2. Dramat w I. akcie Moskoffa: „W Dąbrowie Górniczej" grali:

Górnik: Stefan Jaracz" itd.

Pod datą 26 lipca 1903 r. znajduje się notatka o uroczystości ku uczczeniu Juliusza Słowackiego.

Oto wyjątek z tej notatki:

„III. Deklamacja: Ojciec zadżumionych — z wyjaśnieniem odczytał Stefan Jaracz".

Na tej wzmiance urywają się notatki w kronice szkolnej w Krzyżu o przyszłym wielkim artyście.

Żyje on nie tylko w historii sztuki i kultury polskiej, ale i w skromnej kronice wiejskiej szkółki jako młodzieniec, rokujący wielkie nadzieje.

Jerzy Sikora (Tarnów)

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia"

Do artykułu mego „O obronę człowieka" („Odrodzenie", nr 38) wkradło się kilka pomyłek drukarskich, zniekształcających w zasadniczy sposób sens moich wywodów. I tak w szp. 1-ej, wiersz 21 od dołu zamiast „nieaktualności swego czynu", powinno być „nieodwołalności swego czynu". Szpalta 1-sza, wiersz 16 od dołu zamiast „w tym kontraście" — „w tym kontekście". Szpalta 2-ga, wiersz 15 od dołu zamiast „myśli kategoriami o życiu, a więc dostępną nam wiedzą o rzeczywistości", powinno być „myśli kategoriami o życiu, a nie dostępną nam wiedzą o rzeczywistości". Wreszcie szpalta 3-cia, 2 wiersz od dołu zamiast „autentyczny" — „fantastyczny".

Jerzy Andrzejewski (Kraków)

M—03931 Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 10 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62. Prenumerata miesięczna 21 zł, kwartalna 63 zł. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".